

Filarski, Zenon

Wspomnienia przeznaczone dla Muzeum Małego Miasta w Bieżuniu i Stanisława Ilskiego, który w Biezuńskim Zeszyty Historycznym Nr 13 z 1989 roku nie zapomniał o mnie i wymienił moje nazwisko z imieniem stronicy 106

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 23, 85-152

2009

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WSPOMNIENIA^{*)}

przeznaczone dla Muzeum Małego Miasta w Bieżuniu i Stanisława Ilskiego, który w Biezuńskim Zeszycie Historycznym Nr 13 z 1989 roku nie zapomniał o mnie i wymienił moje nazwisko z imieniem na stronie 106.

Żyłem w Bieżuniu przy rodzicach do pierwszej dekady 1949 roku. Obecnie mieszkam w Łodzi. Jestem kapitanem Wojska Polskiego w stanie spoczynku już na emeryturze wojskowej, inwalidą pierwszej grupy. Przed wieloma laty miałem wylew krwi do mózgu i z tego powodu byłem prawostronnie sparaliżowany. W związku z tym nie mogłem chodzić i dłoń prawej ręki miałem bezwładną. Również miałem duże trudności z mówieniem i napisaniem czegokolwiek. Nawet podpisać się nie byłem w stanie. Mowę odzyskałem i zacząłem pisać po ukazaniu się artykułu o mojej niewolniczej, przymusowej pracy w okresie okupacji hitlerowskiej w latach 1940-45, a która została opisana w 13. numerze BZH przez dr. Stanisława Ilskiego i Jadwigę Siedlecką. Obecnie kuleję i poruszam się przy pomocy laski. Mam poważne trudności z szybkim pisaniem, ponieważ prawa ręka mi drży i nie nadąża za utrwalaniem na papierze moich myśli. Pogarsza to sytuację, bo z tego powodu się denerwuję, piszę niewyraźnie i opuszczam wyrazy w zdaniu. Pierwszego maja 1999 roku doznałem zapaści. Już dwukrotnie przywrócono mnie do życia w Szpitalu Klinicznym Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi. Nie mam już takiej pamięci i analitycznego, precyzyjnego myślenia jak dawniej, kiedy byłem zdrowy i pracowałem zawodowo w wojsku i w cywilu. Opiszę więc to, co najbardziej utrwaliło się w mojej pamięci i wywarło największe wrażenie w moim życiu. W obawie, że moimi wspomnieniami mogę kogoś zanudzić, postaram się opisać tylko strzępy mojego życia i przeżyć ujęte jak najkrócej.

^{*)} Fragmenty niepublikowanej pracy podarowanej przez autora w 2001 r. S. Ilskiemu; mps w zbiorach MMM w Bieżuniu o. MWM w Sierpcu. Zachowano oryginalną pisownię i język pracy. Pominęto fragment końcowy dotyczący pracy autora w wojsku. Fot. oprac. na podstawie kserokopii z mps. Kpt. Z. Filarski zmarł 21 IV 2005 r. w Łodzi.

Urodziłem się 1 czerwca 1931 roku we wsi Władysławowo, gmina Biezuń.

Moje wykształcenie:

1. Gimnazjum i liceum ogólnokształcące zakończone maturą.
2. Oficerska Szkoła Polityczna w Zgierzu i w Łodzi, po której ukończeniu w wieku 20 lat, uchwałą, chyba Rady Państwa, otrzymałem awans na stopień oficerski.
3. Dwuletnie studium przy dowództwie Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy, z przedmiotami takimi, jak: ekonomia polityczna kapitalizmu i socjalizmu, historia międzynarodowa ruchu robotniczego, filozofia, psychologia i wybrane zagadnienia z dzieł Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina oraz innych poważniejszych pisarzy i twórców socjalizmu utopijnego, realistycznego i założeń ustroju komunistycznego. Uczestniczyli w nim starsi oficerowie, m.in. majorzy i podpułkownicy. Otrzymałem na egzaminie z ukończenia tego kursu ogólną oceną dobrą.
4. Jako porucznik i zastępca do spraw politycznych Komendanta Podoficerskiej Szkoły Artylerii Raketowej, zostałem skierowany przez dowódcę Pomorskiego Okręgu Wojskowego na egzaminy do Wojskowej Akademii Politycznej w Warszawie, po zdaniu których studiowałem w tej akademii przy ul. Banacha 2. Awansowano mnie tam na kapitana. Jako kapitan studiowałem też w Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie.
5. Ukończyłem też zaocznie, w wojsku, dwuletnie studium o profilu historii współczesnej i psychologii przy Uniwersytecie Toruńskim oraz w czasie pracy w cywilu dwuletnie studium z religioznawstwa na Uniwersytecie Wieczorowym Marksizmu-Leninizmu. Ponadto, z uwagi na stale przeze mnie zajmowane stanowiska, przez cały okres 20-letniej wojskowej służby zawodowej zobowiązany byłem przez samokształcenie ciągle powiększać swoje wiadomości z różnych dziedzin wiedzy wojskowej i humanistycznej, która podlegała sprawdzianom przez różne komisje i wyższych przełożonych nawet na odprawach służbowych. Również w czasie różnych szkoleń, na których nie planowano egzaminów. Wszystkie odprawy i szkolenia u wyższych przełożonych rozpoczynały się od egzaminów pisemnych, na których nieoczekiwanie rozdawano kartki z różnymi pytaniami z wszelakich dziedzin wiedzy woj-

skowej, przeczytanych aktualnie periodyków historycznych, literackich, planów gospodarczych (w cyfrach), aktualnych wydarzeń krajowych i międzynarodowych, znajomości rozkazów i zarządzeń wyższych przełożonych. Pytań było zawsze dużo i z różnych dziedzin wiedzy. Należało na nie odpowiedzieć prawidłowo i w wyznaczonym bardzo krótkim czasie. Potem kartki te zbierano i przystępowano do przewidzianego szkolenia lub odprawy. Na następnej odprawie lub szkoleniu każdego oceniano na podstawie tych odpowiedzi. Zdarzało się, że robiono w taki niespodziewany sposób sprawdziany ze sprawności fizycznej dowódców i zastępców do spraw politycznych jednostek wojskowych przybyłych do dywizji lub wyższego sztabu na odprawę. Wyprowadzano na halę sportową i kazano ćwiczyć na drążkach, poręczach, skakać przez konia i podnosić ciężary. Podlegali tym sprawdzianom nawet "świeżo upieczeni" magistrowie po uczelniach wojskowych. Miało to wpływ na ocenę oficera, czy odpowiada zajmowanemu stanowisku służbowemu i na jakości opinii okresowych pisanych przez przełożonych na każdego oficera. W każdego więc interesie było dbać o swoją należytą kondycję fizyczną i poszerzanie wiedzy wojskowej i innej. Stosowanie tych metod pogłębiało u każdego nerwowość.

Trochę biografii rodzinnej

Ojcem moim był Teofil Filarski, który został zamordowany w czasie okupacji przez hitlerowców. Miał czterech starszych braci, których w kolejności starszeństwa przedstawiam:

Józef – mieszkał we wsi Władysławowo, gdzie się ożenił i miał potomstwo. Wyjechał na roboty do Francji, skąd powrócił po kilku latach chory i zmarł w swoim domu. Władysław mieszkał w Bydgoszczy. Pracował w fabryce gumy przez cały czas, aż do emerytury. Tam również pracowały jego liczne dzieci. Na emeryturze dożył sędziwego wieku. Franciszek mieszkał w Starogardzie Gdańskim. Pracował w przemyśle i trochę u siebie w rolnictwie. Miał też liczne potomstwo, z którym nie utrzymuję obecnie żadnych kontaktów. Julian jako kawaler mieszkał z matką w Bieżuniu. Stąd wyjechał w wieku młodzieńczym na zarobek do Francji. W tym czasie mój ojciec jako najmłodszy też mieszkał przy matce w Bieżuniu. Ożenił się we Władysławowie z Kazimierą Końpą. Z tego związku ja przyszedłem na świat jako najstarszy spośród pięciorga rodzeństwa. Wówczas moja babcia przeniosła się z Bieżunia do Władysła-

wowa, gdzie zamieszkała przy moich rodzicach w jednym wielkim domu mojego dziadka Końpy. Babcia Filarska była z domu Bronowska, a babcia Końpa z domu Maliszewska. Do dziś istnieją wioski Maliszewo i Bronowice. Przodkowie obu babć utracili je w latach 1883/84 prawdopodobnie za udział w Powstaniu Styczniowym. Mieszkali tam nasi krewni, z którymi, jak pamiętam, utrzymywaliśmy przed wojną bliskie kontakty przez wzajemne składanie sobie wizyt.

Przodkowie mojego ojca pochodzili z polskiego Pomorza Północnego. Dziadek Filarski zmarł młodo i dlatego o przodkach ojca nic nie wiem. Również babcia Filarska zmarła, gdy byłem mały i pamiętam tylko jej urodziwą postać.

Mam dwie córki dobrze wykształcone – mają tytuły naukowe. Ich mężowie to: prof. dr hab. chemii i prorektor Uniwersytetu Łódzkiego i dziekan Wydziału Chemicznego, a drugi zięć jest lekarzem internistą i reumatologiem.

W czasach, gdy mieszkaliśmy przed wojną we Władysławowie w domu dziadka Końpy, w którym mieszkały cztery rodziny, w licznych zabudowaniach gospodarczych, które zostały zbudowane na miejscu starych, wszystko doszczętnie spłonęło z nieustalonych przyczyn. Wtedy kupiliśmy dom w Bieżuniu i jeszcze przed wojną zamieszkaliśmy w nim na Poświętnym.

Moje życie we wsi Władysławowo

We Władysławowie nie było szkoły, więc naukę rozpocząłem we wsi Mak, która jest położona w odległości kilku kilometrów od Władysławowa. Cała szkoła mieściła się w jednej izbie, w domu prywatnym, z trzema rzędami ławek szkolnych. Usytuowana była na wzgórzu wśród bagien i krzewów w pobliżu lasu. W jednej izbie uczyły się jednocześnie trzy klasy. Od pierwszej do trzeciej. Każda klasa zajmowała oddzielny rząd ławek. Nauka tych trzech klas odbywała się w jednym czasie. Te wszystkie klasy uczyła razem różnych przedmiotów tylko jedna nauczycielka – pani Aptewicz z Bieżunia. Dowożono ją codziennie do tej szkoły i odwożono do Bieżunia furmanką chłopską.

Chodziło się do tej szkoły codziennie po trasach trudnych i niebezpiecznych dla dzieciaków i nie dla wszystkich dzieci było tam miejsce. Wielu w wieku szkolnym nie uczyło się w ogóle, ponieważ dzieci były wysyłane przez rodziców na służbę do bogatych chłopów w innej wsi,



Teofil Filarski, ojciec Zenona; zamordowany przez Niemców w lesie brwileńskim w 1945 r.



Zenon Filarski. Zdjęcie do dokumentów przed wstąpieniem do Gimnazjum w Bieżuniu.

z której wracali dopiero na zimę. Żeby dostać się do tej szkoły z Władysławowa do Maka, trzeba było pokonać różne przeszkody. Na skróty torfowiska i trzęsawiska oraz podmokłe łąki. W związku z tym, że można było się utopić, to chodziło się tą trasą tylko zimą, jak wszystko było zamrożone. Natomiast w innych porach roku chodziło się drogą okrężną, piaszczystą, po obu stronach otoczoną dziko wyrosniętymi, gęstymi krzewami i drzewami oraz wrzosami i zmurszałymi pniami. Była to tzw. słynna dzika Cerkwina, w której było dużo różnych grzybów i jagód. W tych gęstych zaroślach gnieździło się różne robactwo jadowite i gady, z których najgroźniejszymi były jadowite żmije. Wygrzewały się one na słońcu, również na naszej drodze do szkoły. Niezauważone, mogły w każdej chwili ukąsić w boscie nogi. Bo wtedy taką długą drogę pokonywało się najlepiej i najczęściej boso. A obuwie, jak ktoś jakieś miał, to ubierał dopiero przed szkołą. Ja miałem. Ale Paul Bedtner – Niemiec, który chodził do klasy trzeciej i Henryk Kozłowski, który uczęszczał do klasy drugiej, żadnego obuwia nie mieli. Byli moimi kolegami i mieszkali w pobliżu mojego domu. Dlatego do szkoły i ze szkoły zawsze chodziliśmy razem.

Bardzo lubiłem się uczyć i chodzić do tej szkoły, ponieważ innej nie widziałem.

Utkwiły mi z niej w pamięci różne wydarzenia. Te przyjemne dla mnie: zapach plasteliny, z której lepiłiśmy na lekcjach różne figurki i zwierzęta, a pani Aptewicz zawsze chwaliła mnie za te prace wobec innych uczniów. I te przykre: jak Paul Bedtner za karę musiał klęczeć przed tablicą na grochu wysypanym przez naszą nauczycielkę. Wtedy się bałem, żeby i mnie to nie spotkało. A największą przykrością było dla mnie, jak musiałem siedzieć w pierwszej ławce z córką miejscowego piekarza, którą przezywali “smoluch”, chyba dlatego, że wyróżniała się śniadą cerą i miała czarne włosy, a była bardzo ładna. Z tego powodu uczniowie dokuczali mi i naśmiewali się ze mnie. Pomimo to wytrzymałem z nią w jednej ławce do końca roku szkolnego.

Ponieważ nie miałem najmniejszych trudności w nauce, więc nigdy w szkole nie byłem ukarany, pomimo że często chorowałem i nie mogłem systematycznie uczęszczać na zajęcia. Za to bardzo lubiłem moją nauczycielkę, a nawet byłem o nią zazdrosny i dwa razy chyba odwiedziłem ją przy okazji w Bieżuniu. Ona chyba też mnie lubiła.

Zanim rodzice wysłali mnie do szkoły, to już umiałem czytać pismo drukowane i nieźle liczyć. Również nieźle rysowałem, a szczególnie róż-

ne zwierzęta, ptactwo domowe, żołnierzy, samochody i samoloty. Nawet poznałem wtedy częściowo ówczesne zasady ruchu drogowego. To była zasługa mojego ojca, który mnie bardzo kochał i ja jego uwielbiałem, bo był bardzo silny fizycznie, pracował wciąż w polu i na łąkach. Czytał także dużo różnych pism. Jak chłopci zebrali się w naszym domu, to i im czytał na głos. Był jednocześnie bardzo wymagający w stosunku do mnie. Uczył mnie liter i cyfr w okresie przedszkolnym. Dostarczał mi różne pisma ilustrowane dla dzieci i dorosłych. Pod obrazkami były napisy: co to jest i do czego służy. Dostałem też kiedyś piękną książeczkę z pięknymi miastami, szosami, drogami, po których poruszały się furmanki, samochody i piesi. A pod tymi obrazkami za wzgórzami i zakrętami, było opisane, jak to wszystko powinno się poruszać.

Pewnego razu ojciec zrobił tabliczkę mnożenia do stu i powiesił ją nad moim łóżkiem i kazał mi się jej uczyć na pamięć. Co się obudziłem, to zawsze miałem przed oczami tę tabliczkę. Ojciec wciąż mnie przepytывał z jej znajomości, aż do jej pamięciowego opanowania bez najmniejszego zająknięcia.

Z takimi wiadomościami poszedłem do szkoły. W ogóle nie uczyłem się w czasie okupacji, za wyjątkiem samokształcenia – jak mi czas na to pozwalał – ale tabliczki mnożenia nie zapomniałem. Mogłem ją recytować jak wiersz. Z tej tabliczki do stu pani Aptewicz przepytывała mnie dla przykładu.

Ojciec dużo opowiadał zebranym u nas chłopom. Ładnie się bawił z moją mamą na zabawach wiejskich, na które zawsze mnie zabierali. Nie widziałem ojca pijanego wśród innych pijanych. Chociaż o nic nigdy nie prosiłem, zawsze wiedział co mi jest potrzebne. Sam lub ze mną kupował w Bieżuniu to, co jemu i mnie najbardziej się podobało – jeżeli chodziło o zakupy z odzieży – np. ubranko, czapkę lub trzewiki. Podobnie w zakupach dla mnie postępował jego brat Julian, który był stanu wolnego. Był dla mnie w tych sprawach bardzo hojny i w postępowaniu ze mną bardzo wyrozumiały i tolerancyjny.

Największym utrapieniem dla naszej nauczycielki musiało być prowadzenie nas latem, przed wakacjami, z Maka do kościoła w Bieżuniu, zaraz po skończonych lekcjach. Te przemarsze całej szkoły na lekcje religii odbywały się wyłącznie pieszo, bez jakiegokolwiek towarzyszącej nam furmanki. Uczył nas ksiądz z kijem w ręku, którym trącał nas, gdy ktoś nie zwracał uwagi na to, co mówił lub gdy ktoś czegoś nie umiał. W cza-

się wakacji chodziłem na naukę do kościoła sam. Po egzaminie i spowiedzi przystąpiłem do pierwszej komunii świętej i bierzmowania – sam z Władysławowa. Otrzymałem imię Henryk, którym to imieniem posługiwałem się zaraz po wyzwoleniu, obok imienia Zenon.

We Władysławowie była bieda z ńędzą. Przeważnie są tam piaszczyste gleby. Rodziły tylko ziemniaki i słabe żyto. Pracy poza rolnictwem w Bieżuniu nie było. Stąd małe dziewczynki i chłopcy byli oddawani na służbę do bogatych gospodarstw w innych wsi, do wypasania gęsi i krów. Bo nie można było wyżyć na tych piaskach, jak ktoś nie miał dużo ziemi, a tylko nieliczni mieli jej wystarczająco, żeby godnie żyć.

Do najbiedniejszych, jakich zapamiętałem, należała rodzina Kozłowskich i Łubińskich.

Mieszkali w pobliżu i dlatego w ich domach często przebywałem. Rodzina Łubińskich miała chyba z dwanaścioro dzieci. Głowa rodziny i najstarsza córka wyjeżdżali co roku na roboty rolne do Prus. Pewnego roku ojciec nie powrócił do domu na zimę, ponieważ na robotach zmarł. Wtedy w domu tym zapanowała niewyobrażalna ńędza. Najstarsza z rodzeństwa córka, która z nim na te roboty wyjechała, powróciła do domu sama. Ojciec został gdzieś pochowany w obcej ziemi. Pewnego razu widziałem, jak ta – już może panna – malowała sobie przed wyjściem z domu policzki i usta czerwonym burakiem, a brwi czarnym węglem drzewnym. Niektóre dziewczyny w tym domu miały krzywe nogi, a najbardziej pałakowate miała Józia (w moim wieku lub może nieco starsza). Nie zauważyłem, by któreś z tego licznego potomstwa uczęszczało do szkoły. Wszyscy chodzili boso i obdarci.

Najbardziej urozmaicone jedzenie mieli, gdy rozpoczął się sezon na zbieranie grzybów i jagód, których w lasach Tylickiego i Prątka była zawsze duża ilość. Dużo jedli szczawiu i fački. W torfowiskach było dużo różnych ryb, które starsi wciąż łowili. Wybierali też jajka dzikich kaczek, kuropatw i gołębi, które ptaki znosiły na wysokich drzewach. Do tego mieli ziemniaki i jakoś żyli.

Kozłowski i Bedtner też byli bardzo biedni, a mieli liczne potomstwo. Kozłowski – chłop młody i silny, mieszkał najpierw w ziemiance, której ściany wewnętrzne były zabezpieczone drągami, deskami i darnią. Dach tej ziemianki też był wykonany z tego materiału i dodatkowo nakryty starą blachą. Było w tym jednym pomieszczeniu z paleniskiem z rurą na zewnątrz dużo myszy, szczurów i wiele robactwa. Nie wiem, jakim cudem udało mu

się postawić później jednoizbową chatynkę z gliny z tzw. sienią i szopką z chrustu do przechowywania tylko niewielkiej ilości drzewa i torfu. Małego prosiaczka trzymano w domu, Kozłowska trzymała go na kolanach i karmiła własną piersią. Bedtner miał bardzo stary dom, stodołę i chlewik, które były drewniane i w całkowitej ruinie. Wszystko się zawalało. Prawdopodobnie przejął to po teściu Szmicie, z którym mieszkał w oddzielnym pomieszczeniu. W tym domu miał ulepioną z gliny kuchnię, która była przykryta blachą z otworami. Palenisko kuchni nie miało drzwiczek, tylko kawałek blachy jakoś przyczepiony i wciąż opadający na glinianą podłogę. Pewnego razu zbliżyłem się do tej kuchni – pieca, w którym Bedtner robił sobie posiłek. Z ciekawości zajrzałem ukradkiem do wnętrza kuchni, bo na wierzchu na blasze nie było żadnego garnka i innego naczynia. W środku, w popiele, piekły się białe buraki. Ciekawość zaspokoilem, ale przypłaciłem ją spalaniem jednej nogawki u krótkich spodenek i oparzeniem nogi. Gdyby nie pomoc Bedtnera, nie wiem, jak to by się skończyło. Pomimo takiej biedy Bedtner miał jednak radio na słuchawki, którego często słuchał. Raz widziałem u tego gospodarza oświetlenie mieszkania zapalonym łuczywem, które było wetknięte w usypany piasek w kominku nad paleniskiem kuchennym. Przeważnie oświetlano mieszkanie w większości domów we Władysławowie tzw. gasikami. Były one wykonywane we własnym zakresie. A składały się z pudełka blaszanego i knota doń jakoś umocowanego – najlepszy był z flaneli. Do tego naczynia nalewano naftę i to się zapalało, i jakoś świeciło. Gorzej było z rozpalaniem domowego ogniska rano. Nie było czym. W takiej potrzebie najbiedniejsi chodzili do bogatszych i pożyczali ogień w postaci palących się brył torfu. Przenosili ten ogień do swych chat w starych garnkach lub wiadrach. Mężczyźni – nałogowi palacze w przeważającej ilości mieli duże problemy ze swoim nałogiem. Nie stać ich było na zakup machorki i zapalek, więc grali o nie w karty lub oni, albo ich dzieci, zbierali rzucone niedopałki. A przypalali papierosy, skręty robione w gazetach tzw. hubkami. Były to zapalniczki własnej konstrukcji, które składały się z następujących elementów: mała metalowa rurka, dwa dopasowane kołeczki z wystruganego twardego drzewa tak, żeby z obu stron w tę rurkę wchodziły. Strona rurki stanowiącej dno, była mocno zakleszczona tym jednym kołkiem, żeby zawartość do niej na stałe wsypana i potem rozżarzona nie wypadła. Do drugiego kołka, który służył jako zatyczka, mocowano normalny kamień służący do zapalniczek. Do tej rurki wsypywano popiół. Najlepszy był prawdopodobnie ze

spalanej szmaty flanelowej. Do tego potrzebny był jeszcze kawałek szkła, które noszono stale przy sobie. Przez potarcie tego szkła o kamień następowało iskrzenie. Aby wpadało ono na popiół, kołek z kamieniem należało oprzeć o krawędź rurki pod odpowiednim kątem. Popiół powinien tlić się, zarzyć i od niego przypalano papierosy. Za posiadanie takiej zapalniczki żaden z policjantów nie mógł mieć pretensji, że jest nie opatentowana. Można ją było nosić legalnie przed wojną.

Ci biedni ludzie w okresie wiosny, lata i cieplej jesieni chodzili boso. A gdy było zimno, to w trepach drewnianych. W zimę bardzo mroźną owijano bose stopy szmatami i przewiązywano je sznurkami. Ponadto chodzili w płóciennych, ufarbowanych ubraniach, często postrzępionych. Bielizna osobista też była płócienna i własnego wyrobu.

W moim domu sytuacja była znacznie lepsza. Mieszkaliśmy w domu dziadka Końpy, który prawdopodobnie wybudował po powrocie z Ameryki. Nie wzbogacił się tam, ale za zarobione pieniądze mógł mieć sporo lepszej ziemi, dużą łąkę i piękny sad wiśniowy.

W domu tym mieszkała również ciotka Stegnerska z dwójką dzieci i z mężem, który powrócił z Francji. A po powrocie Juliana Filarskiego z Francji – jak już miałem około 4 lat – zamieszkał w tym domu również i on z moją babcią Filarską.

Każda rodzina miała osobne wejście do swojego mieszkania. Słyszałem od mamy, że w czasie, gdy mnie jeszcze nie było, to ojciec mój pracował w fabryce gumy w Bydgoszczy, zamieszkując w tym czasie okresowo u swego starszego brata Władysława, który miał swój duży dom i też tam stale pracował, aż do emerytury. Stryjek Wladek odwiedzał nas często we Władysławowie. Podróż z Bydgoszczy w obie strony odbywał na własnym rowerze i po wsi mnie woził.

Julian we Francji pracował przez wiele lat w hucie metali, w bardzo trudnych warunkach. Bardzo dobrze zarabiał. Był tam działaczem związku zawodowego. W tej hucie uległ wypadkowi, w wyniku czego aż do końca swoich dni otrzymywał co miesiąc z Francji pewną sumę pieniędzy z ubezpieczenia. Był wciąż stanu wolnego. Po powrocie z Francji przywiózł ponad dziesięć tysięcy złotych, które trzymał w banku w Sierpcu. Razem z moim ojcem zaczęli prowadzić wspólne gospodarstwo rolne. Na miejsce starych budynków gospodarczych postawili nowe. Dokupili dużo ziemi we Władysławowie i w Bieżuniu – wiele zagonów dobrej ziemi, które ciągnęły się między innymi od samego Bieżunia do Tatarskiej Góry i od Borku bie-

żuńskiego aż pod wieś Dąbrówki. Również kupiono w Bieżuniu duże łąki. Dobrego domu dziadka nie powiększono. Kupiono też wspaniałe konie. Jeden z nich – ogier, jak się czasem uwolnił z uwięzi, to wszyscy przed nim uciekali, bo biegał jak oszalały i chodził na tylnych nogach. Nasze pola graniczyły też z polami wujka Nowackiego i starego wujka Suchodolskiego. Po pożarze zabudowań zakupiono tuż przed wojną dom z ogrodem od wujka Karpińskiego, który był pianistą i kupił dom w Mławie. Reszta pieniędzy przepadła w banku w Sierpcu z powodu wojny i okupacji. Kiedy byłem oficerem, odwiedzałem w Mławie wujka Karpińskiego. Miał córkę, która też studiowała w szkole wyższej muzykę.

Ojciec i stryjek należeli do Stronnictwa Ludowego. Przyjeżdżał do nas do Władysławowa z Płocka doktor Wolski i jacyś inni z Sierpca. Prowadzili w naszym domu pogadanki z chłopami, wśród których widziałem też zubożatego szlachcica Tylickiego, mieszkającego tylko w części pałacu, bo reszta nie nadawała się już do zamieszkania. Odwiedzał nas on często wieczorami i grał z moim ojcem i stryjkiem w karty. Dzisiaj jestem przekonany, że byli to działacze ruchu chłopskiego ludowego, ponieważ szyto w naszym domu sztandary z zielonego materiału i malowano na zielono drzewce do nich. Wyjeżdżali potem do Sierpca na demonstracje.

Na jednym ze zgromadzeń chłopskich z tymi sztandarami byłem w Bieżuniu z ojcem i wujkiem Filarskim. Wzięli mnie pomiędzy siebie i stałem na trybunie zbudowanej na rynku bieżuńskim. Były przemówienia, ale nie pamiętam o czym mówiono. Policja stała, ale nie interweniowała. Wujus z ojcem wyjeżdżali rowerami również do Warszawy, a potem mówili zebranim u nas chłopom, co tam się działo.

Wujus miał legalnie mały pistolet tzw. belgijkę, z którego czasami strzelał w mojej obecności razem z moim wujem Sołtysem, który miał większy rewolwer. Strzelano do kartki mocowanej do grubego drzewa. W czasie okupacji pistolet ten ukryty był w słomianym dachu domku Kozłowskiego, który o tym nic nie wiedział.

Kiedy zamieszkaliśmy w Bieżuniu, to pola i łąki we Władysławowie musiano oddać miejscowym w dzierżawę lub sprzedano, ponieważ część płonów była rozkradana, albo źle zebrana przez najętych do pracy. Dziadek Końpa z babcią zamieszkali u cioci Bukowskiej we Władysławowie, w oddzielnych pomieszczeniach murowanego domu. I tu przeżyli prawie całą okupację niemiecką, często niepokojeni przez żandarmów, bo gospodarstwo to było położone przy lesie.

Moje życie w czasie wojny i okupacji

Wojna. We wrześniu 1939 roku polscy żołnierze wysadzili most w Bieżuniu na rzece Wkrze przed zbliżającymi się od strony Mławy żołnierzami niemieckimi. Razem z innymi chłopcami i dorosłymi stałem nad rzeką przy Poświętnym i obserwowałem kolumnę wojska składającą się z samochodów, rowerzystów i oddziału kawalerii. W czasie zbliżania się kolumny do rzeki przy byłym moście, gdzie rzeka była bardzo głęboka i szeroka, dorośli uciekali znad rzeki w obawie przed represjami. Również mój ojciec i wujś uciekli wcześniej z Bieżunia do Władysławowa razem z całą moją rodziną w zaprzężone do wozu konie, zabierając inwentarz żywy. Mnie pozostawiono do pilnowania domu pod opieką rannego w nogę pod Mławą sąsiada – Władysława Grześkiewicza – rybaka, któremu udało się zbiec z niewoli oraz Ziółkowskiego – kowala, który miał kuźnię w pobliżu kościoła. Widocznie Niemcy napotkali trudności z przeprawianiem się przez rzekę, bo cała kolumna skierowała się w naszą stronę, gdzie rzeka była najszersza, ale najpłytsza i dno było bardziej twarde, białe, składające się z piasku i żwiru. W tym miejscu naprzeciw Poświętnego, gdzie mieszkałem, Niemcy się przeprawiali. Razem z kolegami oddaliłem się od rzeki myśląc, że Niemcy nas nie zauważą. Zauważyli jednak, bo zaczęli nas przywoływać również w języku polskim, gdy niektóre ich samochody z lekkimi działami utknęły na środku rzeki i nie mogły dalej ruszyć. Baliśmy się uciekać, żeby do nas nie strzelano. Zbliżyliśmy się więc w kilkunastu do żołnierzy niemieckich, którzy w pełnym uzbrojeniu i w przemoczonych mundurach próbowali przepchnąć samochody na naszą stronę. Rozkazano nam, by im pomóc. Rozebraliśmy się i pomogliśmy im przepchnąć te samochody na naszą stronę rzeki (na Zębówki). Potem rozebrali się na pastwisku miejskim zwanym Zębówkami, które graniczyło przez rów – dopływ rzeki – z moim ogrodem i łąką odgrodzoną tym rowem pełnym wody. Mundury suszyli, golili się, posilali. Mieli też rannych, których opatrywano bandażami. Próbowano nas częstować słodyczami, jednak nie przyjmowaliśmy ich z obawy, że mogą być zatrute. Bo były plakaty rozwieszane w Bieżuniu, żeby od Niemców nic nie brać, gdyż wszystko może być zatrute. Natomiast fenigi niemieckie z chęcią przyjmowaliśmy. Żołnierze niemieccy się z tego powodu śmiali, chociaż nie mówiliśmy, dlaczego słodyczy nie przyjmowaliśmy. Z ciekawości udałem się z kolegami na ulice Bieżunia.

Na ulicy Kościelnej stały samochody i było dużo żołnierzy. Najwięcej było ich za parkanem kościoła, wielu leżało pod kościołem i w kościele.

Byli ranni, mieli też obtarte pięty i odparzone stopy. Przecinano im pęcherze, jodynowano i bandażowano stopy.

W rejonie cmentarza rzymsko-katolickiego rozlokowała się kawaleria, której chyba sztab rozmieścił się w zabudowaniach wujka Nowackiego, bo widziałem osiodłane konie i oficerów niemieckich z ostrogami na butach. Największe wrażenie wywarło na mnie to, co zobaczyłem w alei prowadzącej od młyna do pałacu pana Jana Ilskiego, w którym mieszkał ze swoją rodziną. Stały tam na postumentach wzdłuż alei piękne figury świętych, które były pozbawione głów. Głowy leżały obok porozbijane.

Jak się dowiedziałem, że między Bieżuniem a Sierpcem – chyba w Rościszewie – powiesili Niemcy wielu Polaków, uciekłem z Bieżunia do Władysławowa, a dom pozostawiłem pod opieką wspomnianych sąsiadów i kościelnego, który mieszkał obok nas w budynkach księdza proboszcza Suchcickiego, a po 1941 roku księdza proboszcza Jana Skorupskiego. Po wyzwoleniu zaś księdza proboszcza Pszczółkowskiego.

Była piękna pogoda. Niebo czyste. A na niebie co pewien czas pojawiały się nad lasem i olszyną biezuńską, a szczególnie nad szosą sierpecką samoloty niemieckie. Strzelały do uciekających na furmankach i pieszo. Z tego powodu moja ucieczka do wsi Władysławowo okazała się trudna i niebezpieczna, ponieważ samoloty te strzelały nawet do pojedynczych ludzi, pojawiających się na polach przy pracy. A lasy i jakieś większe zarośla ostrzeliwały, gdy zauważyły pojawiający się dym. Widziałem w olszynie furmankę rozbitą i w zaprzęgu zabite konie, a wokół kałużę krwi. W swojej wędrówce kryłem się, tak jak inni, przed zbliżającymi się samolotami. Naśladowałem innych dorosłych mężczyzn.

We Władysławowie u cioci Filarskiej, która miała duży dom, stojący na wzgórzu i dużo dzieci, zastałem tylko mamę i dwie moje siostry. Wszyscy byli w rozpacz, bo musieli opuszczać dom i kryć się przed zbliżającymi samolotami. Doświadczyłem tego niebezpieczeństwa sam, gdy wyprowadziłem nasze krowy na łąkę cioci w pobliżu domu. Będąc ostrzeżonym, przywiązałem krowy na łańcuchach do wysokich i grubych drzew. I obserwowałem wciąż niebo. Jak tylko mogłem, ukryłem się z krowami pod osłoną drzew. Samolot przeleciał nade mną i oddał serię strzałów. Nic nie zrobił ani mnie, ani moim krowom. Tak więc nawet do zwierząt samoloty strzelały.

Ojciec mój i jego brat Julian z chłopami z tej wioski uciekli przed Niemcami gdzieś w trudnodostępne moczary z dala od Władysławowa.

Spotykali się z nami tylko w nocy, gdy przychodzili po żywność. Tak ukrywali się przez długi czas, chociaż inni chłopci powrócili do swych zagród po opuszczeniu wsi przez żołnierzy.

Niemca Bedtnera, który mieszkał we Władysławowie od niepamiętnych czasów ze swoją liczną rodziną, nie baliśmy się, ponieważ przed wojną jako sąsiedzi byliśmy ze sobą zaprzyjaźnieni i czasami pomagaliśmy im w biedzie. Przychodzili też zawsze pożyczać od nas ogień. Byli jednak rodowici Niemcy w Bieżuniu i okolicznych wsiach, jak np. Wyterman, który z ojcem i wujkiem znał się doskonale. A jednego z młodych Niemców ojciec w rynku bieżuńskim uderzył w twarz wobec innych osób, gdy ten pozdrowił ojca po hitlerowsku.

Kiedy się wszystko uspokoiło, bo samoloty niemieckie przestały już strzelać do wszystkiego co się poruszało, nastąpiła okupacja niemiecka. Moja cała rodzina powróciła z Władysławowa do Bieżunia. Dom ocalał bez najmniejszych strat.

Okupację razem z najbliższą rodziną przeżyłem w szczególnie trudnych warunkach. Bodajże zimą 1939 roku ojciec zabrał mnie w odwiedziny do starej Niemki, dobrze mu znanej, która mieszkała w małym domu pod borkiem bieżuńskim przy samym cmentarzu żydowskim. Siedzieli przy stole odwróceniem do mnie plecami i o czymś rozmawiali. Potem Niemka wyjęła jakieś zdjęcia i pokazywała je ojcu. Powstała sprzeczka, w której ojciec zdenerwował się i nawet zaczął krzyknąć – "To nie jest prawda!". Wtedy udało mi się zobaczyć kilka zdjęć leżących na stole. Na tych zdjęciach były kobiety leżące i niektóre stojące, nad którymi pochylali się żołnierze polscy ubrani w długie płaszcze i czapki rogatywki i bagnetami wydłubywali oczy i obcinali języki. Dzisiaj wiem z historii, że chodziło o „krwawą niedzielę” w Bydgoszczy, w czasie której Niemcy w odwecie dokonywali codziennych egzekucji na Polakach, począwszy od 2.09.1939 roku.

W czasie okupacji odwiedzali nasz dom różni krewni i znajomi, których wcześniej znałem i tacy, których dopiero poznawałem, bo niektórzy pochodzili z dalekich wiosek. Ja z ojcem lub wujkiem Julianem odwiedzaliśmy różne wioski, przeważnie w niedzielę, ażeby odwiedzić krewnych lub dokonać zakupu siana, torfu i drzewa na opał. Zakupy te często się udawały i chłopci przywozili je nam do Bieżunia. Były też praktyki dosyć częste, że spotykali się niby przypadkowo gdzieś na drodze, na naszym polu pod lasem lub na łąkach latem. Zawsze mnie jednak ze sobą

zabierali. W związku z tym poznałem wielu ich nowych znajomych. Przy rozmowach nie byłem obecny i nigdy nie wiedziałem o czym rozmawiali z różnymi mężczyznami.

Nagle dotarła do wujusia wiadomość, że został chyba ranny przez żandarmów z Bieżunia nasz przyjaciel Jan Gruszewski z Kobylej Łąki, który nas często odwiedzał i my jego również w domu. I że jest przewożony chłopską furmanką, szosą, do szpitala w Sierpcu. Ponieważ na szosie za Bieżuniem nie było żadnych żandarmów w czasie jego transportowania, więc ja z wujusiem zbliżyliśmy się do tej furmanki z rannym. Leżał na plecach przytomny i z przodu cały był we krwi. Wujus zamienił z nim kilka słów. Pożegnaliśmy się z nim i szybko uciekliśmy w pola pokryte zbożami. Wtedy dopiero zdałem sobie sprawę, że te wszystkie spotkania nasze to konspiracja, którą Niemcy tropili i likwidowali. Jan Gruszewski w drodze do szpitala zmarł. I o tym też się szybko dowiedzieliśmy, nie wiem jakim sposobem. Było to w 1942 roku.

Chyba w 1944, jak już zboża były dojrzałe, Niemcy zorganizowali obławę w okolicach Dębska. Zginęło w tej obławie dwóch ukrywających się Romaniaków i prawdopodobnie został ranny jeden Niemiec. Romaniacy przed wojną jako mieszkańcy Bieżunia, razem ze swym ojcem, odwiedzali nasz dom we Władysławowie i w Bieżuniu, Wszyscy byli muzykami. Ich siostra, o niepospolitej urodzie skrzypaczka, na początku okupacji składała nam częste wizyty i pomagała mi w nauce indywidualnej. Nie wiadomo, co się z nią stało.

Ci obaj Romaniacy zastrzeleni przez Niemców leżeli później na podłodze zalanej krwią w kaplicy naszego kościoła, w którym Niemcy w tym czasie magazynowali zboże. Stały też okresowo w tym naszym kościele niemieckie konie wojskowe. Razem z Romaniakami leżeli pomordowani chłopci, którzy w czasie tej obławy byli zabrani od różnych prac na swoich łąkach. Potem zostali przewiezieni furmankami przez Biezuń i około 4 km za Bieżuniem pod lasem rozstrzelani z karabinów maszynowych. Jednemu rannemu udało się uciec z tej egzekucji przez wysokie i gęste krzewy i zboża.

Został też wtedy zabity biezuński kominiarz Zbyszek, który wracał mleczarką z Sierpca do Bieżunia ubrany w swój mundur kominiarski. Ściągnięto go z samochodu i ustawiono razem z innymi do egzekucji.

Widziałem te ciała przez okno kaplicy, gdy szedłem po swoje dwa duże wiadra cynkowe, w których tej niedzieli odstawiałem do mleczarni kon-

tyngent mleka od naszych krów. Wielu z tych rozstrzelanych nie miało całych kończyn, wielu na wierzchu miało jelita. Wszyscy byli pokryci krwią i leżeli w rzędach w kałużach krwi. Ponad 17-letniego Romaniaka poznałem. Naliczyłem około 15 osób w tej kaplicy. Ten obraz z moich obserwacji przekazałem w domu.

Byli też Polacy nieprzychylni mojej rodzinie, chociaż tego oficjalnie nie okazywali. Ale widziałem jednego, który nie krył wrogości wobec wujusia Juliana. Na widok tej jawnej i niebezpiecznej wrogości aż się popłakałem.

Pewnego dnia pod nasz dom wozem zaprzężonym w dwa silne konie podjechał furman po kontyngent ziemniaków. Woźnica ten mieszkał przy ulicy Sierpeckiej w pobliżu rynku. Był znajomym wujusia i ja też go znałem. Wujus w dużym koszu donosił ziemniaki i wysypywał na wóz, na którym wciąż siedział woźnica. Nagle odezwał się on do wujusia i powiedział, że już wystarczy, w momencie kiedy wujus przyniósł następny kosz ziemniaków i trzymał go tuż przed wozem. Pomimo to wujus chciał wrzucić jeszcze te ziemniaki, żeby Niemcy nie mieli pretensji, że daliśmy ich za mało. Gdy próbował ten kosz dołożyć, wtedy woźnica podniósł się i na stojąco z wozu bił wujusia batem po głowie i krzyczał tak głośno, że aż niektórzy z naszych sąsiadów wyszli z domów. Wrzeszczał: "Ty komunisto, ja ci pokażę! Ty komunisto, ja ci pokażę!". Po tej awanturze odjechał bez tych dodatkowych ziemniaków. Po wojnie mieszkał on w tym samym domu, co i w czasie okupacji.

Pewnego dnia latem jeden ze zdrajców i prowokatorów został zdemaskowany i zastrzelony we własnym mieszkaniu. Nazywał się Gałgas. Żył samotnie. Był wielki i silny. Najmował się do koszenia zbóż i traw. Ponadto grał ładnie na akordeonie po wioskach – za pozwoleniem Niemców, jak się okazało. Kiedy młodzież wiejska zgromadziła się, żeby potańczyć, co Polakom było zabronione, to wtedy zawsze pojawiali się żandarmi i tę młodzież zabierali. Następnie przewiezioną do Bieżunia, wozowili gdzieś w nieznaną. Widziałem go zastrzelonego, leżącego na wznak na całą długość izby niewielkiej, jedynej razem z kuchnią, a wokoło jego głowy biegały myszy, które nie bały się ludzi.

Nie słyszałem, żeby ktoś z tego powodu miał jakieś przykrości od Niemców, nikt nie był represjonowany.

Niektórzy z Polaków w Bieżuniu żyli w tym czasie lepiej jak przed wojną pod względem materialnym, bo nie bali się kraść mienia pożydow-

skiego i po wysiedlonych z Bieżunia rodzinach polskich. Jednym z takich był mieszkaniec Poświętnego.

Na niektórych handlujących masłem i jajami – co było zabronione – Niemcy jakoś przymykali oczy. Mogli jeździć własnym wozem w dwa konie po wioskach i tym towarem handlować w Bieżuniu do pewnego czasu. Później Niemcy takich aresztowali w 1944 roku i tuż przed wyzwoleniem w więzieniu sierpeckim zamordowali razem z innymi 85 – m.in. bieżuniakami, jak np. Władysławem Grześkiewiczem i Helkiem Grześkiewiczem z Poświętnego. Następnie cele z pomordowanymi podpalono i prawie całkowicie spalono.

Nie wiedziałem dlaczego wujek Julek musiał się od pewnego czasu ukrywać przed Niemcami daleko poza domem. Spotykałem się z nim bardzo rzadko, w obecności ojca lub mamy, w umówionym miejscu pod lasem na naszym polu i łące, albo w lesie w rejonie Władysławowa. W czasie kilku spotkań wyjaśnił mi, że grozi mu niebezpieczeństwo ze strony Niemców, dlatego musi się ukrywać przed nimi, że do domu nie może wrócić, bo zaraz by go aresztowali. Jak to się mogło stać, że pewnego dnia latem o świcie, żandarmi byli ukryci na wysokim wzgórzu wśród drzew i krzewów we Władysławowie i mogli z tego miejsca wzgórze obserwować łąki i pola porośnięte wysokim zbożem? To musiał być chyba zbieg okoliczności, że wujusł tej nocy po dotarciu do Władysławowa ukrył się w zastępczej kryjówce w pobliżu gęstych dużych krzewów, w życie. Gdy wstał o świcie i pragnął się udać w dalszą drogę, mocno się pochylił, by przypadkiem nie był przez kogoś zauważony. Gdy tylko wysunął się z żyta prawą nogą, od razu padły strzały bez ostrzeżenia. Został trafiony chyba specjalnym pociskiem (rozpryskowym), bo wychylona prawa noga od razu się zwinęła w półkole i natychmiast upadł. Okazało się, że kość była wyrwana poniżej kolana około 4 centymetrów na całej jej długości. Wtedy żandarmi zeszli z tego wzgórza – bardzo dobrze mi znanego – i zbliżyli się do rannego na pewną odległość. Żandarm Wyterman – wychowany w niedalekiej wsi – i dobry znajomy, miał krzyczeć: „Filarski, rzuć broń i zbliż się!”. Jak usłyszeli odpowiedź, że broń nie ma i podnieść się nie może, bo dostał w nogę, wówczas podeszli do rannego. Gdy zobaczyli wyrwaną przez pocisk dziurę w cholewie długiego buta, to nie ruszyli leżącego i nie bili. Wyterman z drugim żandarmem pozostali na miejscu, a inni udali się do wsi i przyprawdzili wóz zaprzężony w dwa konie. Zamiast do Bieżunia, udali się tym zaprzęgiem od razu do szpitala w Sierpcu. W szpitalu pracowali również

lekarze polscy i polskie siostry zakonne. Nadzór nad całością sprawowali Niemcy. Wielu lekarzy znało wujusia. Niemcy nakazali, ażeby rannego położyć samego w osobnej sali. Znalaziono małą salkę na parterze chyba celowo, bo z oknem wychodzącym do ogrodu warzywnego i z drzewami owocowymi. Pod drzwiami, na zewnątrz tej sali, postawili wartownika, żeby nikt nieupoważniony nie wchodził. Za nogę zdrową przykuto go do ściany, a prawa noga leczona była tak, żeby jej nie wyleczyć i nie odjąć do samego wyzwolenia. Dzięki lekarzom polskim, a szczególnie siostrą zakonną, tylko mnie się udało mieć z nim sporadycznie bezpośredni kontakt. Siostry otwierały mi okno jego pokoiku i pomagały ukryć się pod jego łóżkiem. W tym czasie przekazywałem mu pewne informacje dotyczące rodziny, co jest z ojcem i jak sobie radzimy. O sobie mówił, że Niemcy pragną wydobyć z niego pewne rzeczy. Nie biorą go na razie na swoje słynne przesłuchania, ponieważ w wyniku postrzału jest zagrożone jego życie. Przekazywałem mu zawsze coś do jedzenia, m.in. kotlety z posiekanych uklei i kiełbi, których po kryjomu nałowiłem i które mama potem zrobiła. Nikt z nas nie znał ich smaku, ponieważ wszystko szło na ratowanie mu życia – jak wtedy nam tłumaczono.

W czasie tych zamierzonych odwiedzin z Bieżunia do Sierpca po 21-kilometrowej trasie, niebezpiecznej ze względu na żandarmów, którzy często jeździli tą szosą, tylko raz odbyłem podróż z ojcem furmanką, klucząc po bocznych drogach. A gdy zabrakło ojca z powodu jego uwięzienia, a przedtem wywiezienia go gdzieś do kopania okopów, to odbywałem tę podróż z mamą pieszo, a trochę okazijną furmanką. Po wyzwoleniu noga wuja wygoiła się po dłuższym okresie leżenia w łóżku, ale była krótsza około 4 centymetry i krzywa. Wymagało to chodzenia o kulach, a z czasem tylko o lasce i znowu o kulach. Nie pozwolił się porwać, żeby uwolnić się od Niemców w obawie przed represjami, jakie by mogły być zastosowane wobec całej naszej rodziny.

W dniach 29 października 1944 r. i 10 grudnia 1944 r. Niemcy zorganizowali wielką oblławę na partyzantów w rejonie całej gminy Biezuń i okolicznych wiosek. Użyli w tej oblławie samolotu, który wciąż strzelał i innej ciężkiej broni, jak np. ciężkich karabinów maszynowych. Wzięli w niej udział Niemcy mundurowi i cywilni, również spoza Bieżunia. Objęli tą oblławę dużo wiosek, lasów i bagnistych terenów, które wiosną, latem i jesienią były trudnodostępne dla nie znających tych moczarów. Przede wszystkim obstawili mocno wieś Myślin z przyległymi doń dużymi lasami olszyno-

wymi o podłożu bagiennym i niedostępnyymi miejscami. Olszynę tę częściowo znalazłem, ponieważ kolego wałem się z moim rówieśnikiem synem Grześka i jego młodszą siostrą, którzy mieszkali na wzgórzu w małym drewnianym domku, tuż przy tej olszynie. Dzieci te zginęły w czasie tej oblawy zastrzelone z niemieckiego karabinu maszynowego, podczas zbierania w tej olszynie suchych gałęzi na opał. Ich ojca też zamordowano. Był on legendą, bo wielokrotnie uciekał Niemcom nawet z Bieżunia, pomimo że strzelano do niego, gdy uciekał po płaskim pastwisku, tzw. Zębówkach. A już sensacją był fakt, kiedy uciekł Niemcom i skrył się w stodole, o czym Niemcy wiedzieli. Pomimo, że otoczyli stodołę, a jej wnętrze dokładnie przeszukali, kłuli bagnietami, gdzie tylko mogli, to jednak Grześka w tej stodole nie znaleźli. Nie pomogły nawet wytresowane psy. Wszyscy i u nas w domu z tego powodu się cieszyliśmy, wtajemniczeni w sprawy Grześka. Niemcy stodoły nie spalili, bo gdyby to zrobili, to wtedy spaliliby i Grześka. A Grzesiek – człowiek małego wzrostu – wcisnął się między belkę, a słomianą strzechę stodoły. Wprawdzie tylko raz został ukłuty bagnietem, ale nawet nie zareagował, bo to była nieznaczną raną. W tej drugiej oblawie zginął kapitan WP – partyzant i major sowiecki – partyzant, który był zrzucony z samolotu razem z innymi podległymi mu oficerami w tym rejonie. Kapitan prawdopodobnie jest pochowany w Myślinie. Majora widziałem już zabitego. Prawdopodobnie sam się zastrzelił, nie chciał się poddać Niemcom, którzy otoczyli stóg siana, w którym przebywał w dobrze urządzonej kryjówce z radiostacją pod tym stogiem. Zabity leżał najpierw na kupie nawozu końskiego w podwórzu gestapo w Bieżuniu. Potem wywieziono go na cmentarz rzymsko-katolicki. Mój ojciec wysłał mnie na cmentarz, ażebym sprawdził, czy to jest prawda. Majora znalazłem porzuconego obok wykopanego dla niego dołu. Leżał on na wznak na całą swoją długość na skraju cmentarza w pobliżu muru, gdzie jest mogiła żołnierzy niemieckich z nakrytą płytą i napisami. Miał otwarte oczy koloru jasno-szarego (siwego) i krótką bródkę. Był ubrany tylko w białą koszulę i w żółte spodnie bryczesy niemieckiej organizacji budowlanej "Todt". Był boso. Wydawało mi się, że był małego wzrostu. Dziś leży w mogile na naszym cmentarzu w pobliżu wspólnej mogiły pomordowanych, gdzie jest pochowany i mój ojciec. Na tej mogile jest napis: "Major gwardii »Smirnow« – Genadij Bratczikow". Na tym cmentarzu byłem o zmierzchu i nikogo nie widziałem. Chyba nie byłem przez Niemców obserwowany z ukrycia. Zdawałem sobie sprawę z grożącego mi niebezpieczeństwa.

Na tej zbiorowej płycie mogiły z moim ojcem jest napis niezgodny z datą ich zamordowania. Powinno być “w styczniu 1945”, a nie “w styczniu 1944”. Byłem w tym miejscu, wśród pomordowanych odnalazłem swojego ojca – rozpoznałem go po długim bucie po moim wujusiu – prawa cholewa była maszynowo załatana przez biezuńskiego kamasznika. Chodził on właśnie w tych butach po wujusiu postrzelonym w prawą nogę. Jak wydobywano ich z wspólnego dołu, w którym leżało ponad 200 osób, w tym jeden ksiądz w sutannie, to działo się to w obecności leśniczego lasu brwileńskiego, który za Niemców był nim nadal i występował w swoim mundurze. Obserwował on ten zbiorowy mord z ukrycia w tym lesie i opowiadał nam, kiedy i jak odbywała się egzekucja. Po 14 miesiącach odnalezienia ich w głębi lasu, bo było to w marcu 1945, ich ciała byłyby w rozkładzie, a tak nie było. Wszyscy byli mocno utyłani w piasku i w błocie, a skóra na ich twarzach i rękach odchodziła w takim stopniu, że tylko była poskręcana jak kora starych brzoź. Takie odniosłem wrażenie. Informowałem o niezgodności daty zamordowania władze biezuńskie, lecz to widocznie nie ma większego znaczenia.

W wyniku tej obławy zostało złapanych dużo ukrywających się mężczyzn i aresztowano innych, którzy nie ukrywali się przed Niemcami.

Zabierano ich z domów do pracy. Wszyscy byli przewiezieni do Bieżunia i następnie gdzieś poza Sierpc. Nikt nie wiedział gdzie. W Sierpcu siedzieli m.in. bieżuniacy, których winą było to, że próbowali czymś handlować, co było Polakom zabronione. Po wyzwoleniu okazało się, że wszyscy złapani i aresztowani w tej obławie byli osadzeni w więzieniu w Płocku. Mój ojciec przeczuwał chyba grożące mu niebezpieczeństwo po tej obławie. Już o świcie wychodził z domu do jakichś zajęć w stodole, która znajdowała się dosyć daleko od domu, na końcu innych stodoł w pobliżu lasku biezuńskiego. Wtajemniczył mnie również, gdzie przechowuje sporą paczkę, której mam nie otwierać, a która była ukryta między belką, a dachem słomianym tej naszej stodoły. I na jakie hasło powinienem ją komuś pokazać. Zastanawiałem się nad tym, co się stanie z nami, gdyby zabrakło ojca. Przecież było nas pięcioro dzieciaków i babcia Końpa, wdowa. Było również ponad 8-hektarowe gospodarstwo, koń, 2 krowy i wiele innego inwentarza żywego.

Upłynęło kilka tygodni od tej obławy. Była jeszcze zima. Mama postanowiła zrobić pranie. Ojciec tego dnia nie opuścił wcześniej domu, ponieważ postanowił pomóc mamie przy praniu. Tego dnia rano – jak

już byłem w pracy przymusowej u komisarza niemieckiego Springera, zjawilo się w naszym domu pięciu gestapowców mundurowych i po cywilnemu z psem i nakazano się ojcu ubrać i udać się z nimi. Nie pozwolili ojcu pożegnać się z rodziną, ponieważ obiecywali, że niedługo wróci. Uciekłem na jakiś czas z pracy i o wszystkim się dowiedziałem od zapłakanej mamy i rozpaczających sióstr. Pocieszałyśmy się, że wróci po przesłuchaniu. Nie zwracając uwagi na niebezpieczeństwo, również dlatego, że nie byłem w pracy, wybiegłem z domu i pobiegłem na ulicę Zamkową – Młyńską, gdzie mieściła się kwatera gestapo. Usiadłem na schodkach kamiennych domu rzemieślnika rymarza, po drugiej stronie ulicy, naprzeciw gestapo i oczekiwałem w nadziei, że może jeszcze ojca ujrzę. Po pewnym czasie wyprowadziło go dwóch gestapowców w swoje podwórze. Ojciec mnie nie zauważył. Myślałem, że go tam zastrzelą, ale strzałów nie usłyszałem. Czekałem więc nadal. Nagle pojawił się w tej samej asyście i zauważył mnie. Tylko krzyknął: „Nie martwcie się, ja wrócę niedługo!”. Po tych słowach ojca z powrotem wepchnięto do pomieszczenia gestapo i jeszcze tego samego dnia wywieziono z Bieżunia. Wrócił, ale w trumnie, z rozbitą szczęką i mocno zaciśniętymi pięściami, z których schodziła tylko skóra, jak kora na starej brzozie. Miał też ogoloną do zera głowę i swoje ubranie bez zimowego palta długiego, w którym go zabrano. Zostaliśmy sami bez ojca i jego rodzzonego brata, ukochanego przez nas, z którym nie wiadomo co będzie.

Moje życie osobiste i rodzinne stało się niezmiernie trudne i ciężkie, jak i dla całej mojej rodziny w czasie okupacji, szczególnie po zranieniu wujka Julka i uwięzieniu ojca, jak również wcześniej po zabraniu go gdzieś do kopania okopów, z których powrócił po kilkunastu miesiącach późną jesienią w nocy 1944 r. – okropnie brudny, zawszony i mocno zarośnięty oraz w strzępach własnego ubrania. Musiałem codziennie chodzić do pracy przymusowej u komisarza niemieckiego. Roboty w obejściu gospodarczym też miałem dużo w okresie zimy i przy młóceniu zboża. A wiosną, latem i jesienią jeszcze więcej na polach rozrzuconych w różnych miejscach i ciągnących się kilometrami wąskimi pasami zwanych zagonami. Rodzina i znajomi bali się nam pomagać, żeby nie zostali posądzeni przez Niemców o bliskie związki z nami. Nawet rodzona siostra mamy, z męża Rydlewska, która mieszkała z rodziną swoją na Glinkach, też bała się nam przyjść z pomocą. Koledzy wujusia i ojca też nas unikali w obawie przed

represjami niemieckimi. Jedynie Stefan Filarski, mający swoje gospodarstwo we Władysławowie, cośkolwiek nam pomógł. Na wujka Nowackiego, który był częstym gościem u nas przed tymi nieszczęściami, które nas dotknęły, nie można było w ogóle liczyć, że nam w czymś pomoże. Nadal mu się dobrze powodziło w porównaniu z innymi. Miał też różne maszyny rolnicze. Zachowywał się tak, jak gdyby był dla nas zupełnie obcy, w przeciwieństwie do cioci – jego żony z domu Suchodolskiej.

Pomagał mi przy różnych pracach mój sąsiad i kolega Henryk Grześkiewicz, który był w moim wieku i któremu Niemcy ojca też uwięzili. Siedział w więzieniu w Sierpcu. Ja jemu też pomagałem w małym gospodarstwie, liczącym kilka mórg ziemi, jednej krowy i trochę drobiu. Jego ojciec był rybakiem spośród wielu w Bieżuniu, którzy dzierżawili rzekę Wkrę na pewnych odcinkach im przydzielonych i na innych rzekach, których wówczas było wiele w rejonie Bieżunia. Najwięcej pomagaliśmy sobie przy młóceniu zboża cepami w stodole i jego oczyszczaniu przy pomocy ręcznej wialni. A jak zboże i ziemniaki nadawały się już do zebrania, to pomagaliśmy sobie przy ich sprzątnięciu. Jeden raz dostałem urlop siedmiodniowy od komisarza ze względu na konieczność zebrania plonów z naszego gospodarstwa, które nie wiadomo kto rozkradał. Nawet z jednego zagonu wykosił i zabrał seradę. Najwięcej wykopano ziemniaków i z tym złodziejstwem nie umiałem sobie z mamą poradzić.

Żołnierze niemieccy i żandarmi, którzy szli na ćwiczenia w kierunku lasku miejskiego, przerywali swój marsz i śpiew na widok nas – dzieciaków pracujących w stodole przy moim zbożu. Brali od nas cepy i próbowali nimi młócić zboże jak my. Nie umieli, ale uparcie próbowali. Niejeden nabił sobie guza na głowie ku ogólnemu ich śmiechowi. Poklepywali nas po plecach i mówili: “gut, gut”.

Ponadto, w okresie lata i jesieni, handlowałem wyhodowanym na swoim ogrodzie tytoniem różnego gatunku. Było na niego tak duże zapotrzebowanie, że już sprzedawałem go w postaci zielonych liści. A co nie sprzedałem w tej postaci, to suszyłem na strychu mojego domu i brałem za to o wiele drożej, a za pokrojony nożem, jeszcze drożej. W ten sposób zarobiłem parę marek dla domu, lecz trudno było za nie coś kupić, z wyjątkiem tego, co Niemcy sprzedawali nam na kartki. Papierosów wtedy nie paliłem i nie znałem się na zaletach tytoniu.

Natomiast Henryk Grześkiewicz robił bimber z buraków i też sprzedawał. Umiejętność tą odziedziczył po ojcu. Raz poprosił mnie na szope

z sianem, w której stała jego krowa. Wyciągnął butelkę głęboko schowaną w sianie i kazał mi spróbować tego bimbrowa. Pociągnąłem z tej butelki bardzo mało tego płynu i zaraz zwymiotowałem, bo był tak niedobry i palący w przelyku i żołądku, a ponadto czymś śmierdział. Zakręciło mi się w głowie tak mocno, że ledwie zszedłem z tej szopy po drabinie i naraz ujrzałem przed sobą swoją mamę. Nakryła mnie swoją wielką chustą i zaprowadziła do domu. Prawdopodobnie tak dziwacznie się zachowywałem w domu przed ułożeniem mnie do snu, że aż wszyscy się śmiali. Już więcej nie wziąłem tego świństwa do ust. Przypuszczam, że kolega Henryk musiał dodać do swojego bimbrowa trochę karbitu, ażeby był trochę mocniejszy. Wówczas powszechnie to stosowano – jak słyszałem.

Po aresztowaniu ojca, pewnego słonecznego i ciepłego dnia, pojawił się w naszym domu Włodarski ze wsi Mak, który przyjechał własnym wozem zaprzężonym w dwa konie. Znałem go i wiedziałem, w którym domu mieszka w tej wsi. Po rozmowie z mamą pojechaliśmy do Myślińska do domu Grzeška, który kilkakrotnie uciekł Niemcom. W toczku (korycie drewnianym – wyj. aut.), na którym siedzieliśmy, miał ukrytą słoninę i chleb własnego wypieku w sieczce dla koni. Unikaliśmy jazdy drogą, na której w każdej chwili mogli pojawić się żandarmi. Odbywaliśmy więc prawie całą podróż przez łąki zamrożone i słabo mi znane. Dom Grzeška przylegał prawie do sosnowego zagajnika i innych dużych gęstych krzewów. Również był w pobliżu olszyny rozległej i mocno podmokłej oraz poprzecinanej wieloma rzeczками i strumieniami. Był to teren trudny do pokonania bez łodzi. Dom stał z dala od wioski na wzgórzu. Po ukryciu całego zaprzęgu do tego domu wszedł Włodarski. Mnie zostawił na zewnątrz domu i kazał czekać. Po pewnym czasie podeszło do mnie dwóch mężczyzn, z których jeden miał karabin, a drugi pistolet w kaburze i mapę w ręku. Byli ubrani częściowo po wojskowemu. Ten z mapą wypytał mnie o nazwy wiosek i czy w Bieżuniu jest dużo wojska. Potem kazał mi obserwować drogę, żwirówkę, która z Bieżunia prowadziła do Sławęcina. A gdy na tej drodze zauważę Niemców-żandarmów, to mam ich ostrzec – już nie pamiętam jakim umówionym znakiem. Po pewnym czasie pojawili się żandarmi jadący w jednej bryczce, którzy jechali w kierunku Sławęcina. Podałem sygnał ostrzegawczy i naraz za moimi plecami usłyszałem szcęk broni, po pewnej chwili wybiegających z domu razem z Włodarskim kilku mężczyzn, którzy gdzieś się ukryli. Na szcęk broni obejrzałem się za sie-

bie, a tuż za mną z zagajnika ujrzałem wychylone lufy karabinów i kilku leżących przy nich mężczyzn, których przedtem nie widziałem. Obyło się to bez żadnego wystrzału. Żandarmi pojechali dalej. Byłem mocno zaskoczony i uradowany, gdy z tego zagajnika wyszło do mnie dwóch uzbrojonych w automaty mężczyzn, których znałem wcześniej, bo byli u nas w domu kilka razy i ja też dwa razy byłem w domu jednego z nich, raz z ojcem i raz z mamą. Był to Bronisław Lubaczewski ze Sławęcina i Jan Dobies z jakiejś wsi spod Sierpca. Pocieszali mnie; abym się zbytnio nie martwił z powodu zabrania przez gestapo mojego ojca i uwięzieniu jego rannego brata Juliana. Mówili, że to wszystko niedługo się skończy. Pytali też, jak żyjemy.

Po powrocie do Bieżunia Włodarski w obecności mamy zapytał mnie czy mam tę paczkę, którą pozostawił mi ojciec. Przyniosłem tę paczkę pozostawioną w ukryciu przez ojca i przekazałem Włodarskiemu. Co było w niej nie dowiedziałem się, ponieważ o to nie pytałem również po wyzwoleniu. Nie wiem czy mama wiedziała o mojej tajemnicy przekazanej mi przez ojca. Lubaczewskiego i Dobiesia spotkałem jeszcze raz zimą przed wyzwoleniem Bieżunia. Byli w lesie w rejonie Sławęcina, do nich zaprowadziła nas Janina Lubaczewska – żona Bronisława. Byli ubrani w ciepłe watowane mundury podobne do mundurów, jakie nosili żołnierze Armii Radzieckiej w czasie wyzwolenia Bieżunia. Na czapkach mieli orły i tę samą broń. Zaraz po wyzwoleniu przybyli do naszego domu z oficerami Armii Radzieckiej, żeby odwiedzić naszego wujusia leżącego w łóżku.

Jak byliśmy sami bez ojca i wujusia, to chodziłem z mamą nadal po różnych wioskach. Załatwialiśmy siano dla krów i konia. Kupowaliśmy torf i drzewo na opał. Zawsze spotykaliśmy się z tymi chłopami, z którymi spotykał się mój ojciec i wujus w mojej obecności. Znałem ich doskonale, ich mieszkania i gościnność. Nigdy nie opuszczaliśmy żadnej wioski głodni.

Po tych naszych wędrownkach przywożono nam siano do stodoły, torf i drzewo na opał, z takich wiosek, jak: Władysławowo, Mak, Sadłowo, Kobyla Łąka, Bielawy, a nawet Sławęcina, który już chyba był inną gminą. Te dostawy były niewielkie, zawsze przywożone furmankami chłopskimi, za które ci biedni ludzie nic od nas nie chcieli.

Praca przymusowa

W czasie okupacji Biezuń na mocy dekretu Hitlera z 8.10.1939 roku był przyłączony do b. Prus Wschodnich, jako wchodzący do północnej części Ziemi Mazowieckiej (termin nieściśły – przyp. red.), obejmującej 14 powiatów. Gauleiterem tych ziem był Erich Koch. Wtedy Biezuń otrzymał nazwę Lauffen. Od wiosny 1940 roku wprowadzono rozporządzeniem Ministra Sprawiedliwości Rzeszy nowe prawo karne dla Polaków i Żydów na tych terenach. W wyniku tego Polacy i Żydzi pozbawieni byli wszelkich praw obywatelskich i byli sądzeni wyłącznie przez sądy specjalne, od których wyroku nie było odwołania. Na tych terenach zniesiono wszelką administrację polską. Szkolnictwo polskie zostało zlikwidowane, a jakakolwiek nauka zakazana. W tak stworzonych warunkach prawnych, ja i chłopcy w moim wieku oraz młodsi i starsi ode mnie – do lat 14, byliśmy zmuszeni nakazem administracyjnym okupanta do wykonywania różnych prac polowych i gospodarczych na rzecz Niemiec przez cały okres okupacji, od wiosny 1940 roku do stycznia 1945 roku. Komisarz niemiecki gminy Biezuń, hitlerowiec Springer wcielał to niemieckie prawo z największą dokładnością. Lubował się w wynajdywaniu nam różnych codziennych prac i w wymierzaniu nam różnych kar. Po wykończeniu Żydów w Bieżuniu, którzy zanim to się stało, musieli wykonać różne prace porządkowe, takie jak: zamiatanie niektórych ulic i wrywanie trawy spośród kamieni na całym rynku, myśmy później też musieli wykonywać tę pracę.

Żydzi od początku okupacji Bieżunia rozpoczęli pracę przymusową od niemieckiej wojskowej musztry. Uformowani byli w szyku zwartym trójkowym i musieli maszerować wokoło rynku ze śpiewem „Przez nas wojna, przez nas wojna. A Hitler złoty nauczy nas roboty.” Przy tym byli obstawieni przez załogę niemiecką z psami. Byli bici i szczuci psami. Niektóre stare Żydówki i Żydzi upadali w takim marszu. Pomimo to, byli dalej bici, czego byłem naocznym świadkiem.

Gdy zabrakło Żydów, to my musieliśmy zamiatać m. in. wszystkie ulice w Bieżuniu i wrywać trawę spośród kamieni na rynku i ulicach. Podobnie jak Żydzi, rozpoczynaliśmy pracę przymusową od nauki musztry niemieckiej. Najpierw rozdano nam miotły, z którymi na ramionach, niczym wojsko, musieliśmy uczyć się maszerować po pastwiskach na Grondach i po ulicach Bieżunia. Obowiązywał szyk zwarty trójkowy.

Na początku wszyscy, zobowiązani do tej pracy nakazem administracyjnym okupanta, musieliśmy się stawić w oznaczonym miejscu i czasie.

Tym miejscem była droga wysypana żwirem obok murowanej szopy od strony ulicy Ogrodowej, która wchodziła w skład zaplecza gospodarczego komisarza i mieściła się w jego podwórzu. Było to stałe miejsce naszych zbiórek przez cały okres okupacji. Na tym pierwszym spotkaniu z komisarzem, sprawdzono najpierw obecność w oparciu o dziennik szkolny. Stało się to regułą przed codziennym rozprawianiem nas do pracy. Następnie komisarz wygłosił przemówienie, z którego wynikało, że dokonuje otwarcia polskiej szkoły dla polskich chłopców, w której nauczymy się porządnie pracować. Nadzór nad całością powierzył polskiemu nauczycielowi Ignacemu Kołodziejskiemu, którego do tego zmusił. Miał on wykonywać wszystkie polecenia komisarza. Podzielono nas na cztery oddziały, nad którymi nadzór sprawowali oddziałowi wyznaczeni spośród nas – najstarsi wiekiem. Byli oni odpowiedzialni za pilnowanie nas w pracy, żebyśmy pracę nam wyznaczoną każdego dnia wykonali na czas i jak najdokładniej. Oni nie musieli pracować, tylko utrzymywać m.in. dyscyplinę w pracy – pilnowali również, żeby nikt nie uciekł.

Ta nasza praca była zorganizowana na wzór obozu pracy.

Tak zeznało 7 świadków. W roku 1973 zeznał Ignacy Kołodziejski – lat 77, Roman Drżdżewski – lat 45 i Hipolit Drżdżewski – lat 43. Zeznania, które potwierdził Urząd Gminy Biezuń, złożyli na piśmie.

W roku 1975 przed Rejonowym Sądem w Mławie złożyli zeznanie pod przysięgą: Jerzy Kraśniewski – lat 43 i powtórnie Roman Drżdżewski – lat 47. A w roku 1976 przed tym samym sądem zeznali: Roman Wojtowicz – lat 46, Stanisław Lemański – lat 44 i Hieronim Pawłowski – lat 47.

Wszystkie moje oryginalne dokumenty w tej sprawie i sentencje wyroków sądowych, kompromitujące sąd w Łodzi, znajdują się w Okręgowym Sądzie Pracy i Ubezpieczeń Społecznych przy Placu Dąbrowskiego, w moich aktach Nr U. 1120/76. Przez te wszystkie lata sąd ten rozpatrywał w składzie wciąż tego samego jednego sędziego Franciszka Milewskiego i dwóch stale zmieniających się ławników niemych (bo nigdy nie zabierali głosu), czy mi uznać te lata pracy okupacyjnej do okresu zatrudnienia w celu zaliczenia do wysokości emerytury wojskowej, która była uzależniona wtedy od okresu zatrudnienia. Pomimo zeznań tylu świadków, którzy ze mną pracowali, potwierdzających tę moją pracę z nimi, sąd nie uznał mojej pracy do okresu zatrudnienia. Sąd wyższej instancji w Warszawie, do którego odwołałem się, w składzie trzech sędziów

dziów i dwóch ławników podważył tę decyzję sądu w Łodzi i zalecił jej ponowne rozpatrzenie.

Zasadniczym powodem nie uznania mi tej pracy do emerytury wojskowej było twierdzenie władz wojskowych i sądu łódzkiego, że władze okupacyjne w swoich zarządzeniach i ustawodawstwie wyjątkowym nie rozciągnęły obowiązku pracy na dzieci poniżej 14 lat, a dopiero od 14 roku życia wzwyż. Osoba w wieku 9-14 lat nie posiada zdolności do czynności prawnych, w tym również do nawiązywania stosunków pracy. Nie pomógł mi też dokument przedłożony sądowi i włączony do akt z Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce Nr L.Dz. Zh. II/442/12/15 z dnia 21.04.1975 roku – kierownika Referatu Współpracy z Zagranicą i Wydawnictw mgr Zofii Tokarz, która napisała do mnie w związku z napisaną przeze mnie historią o dzieciach bieżuńskich w okresie okupacji i o prawie niemieckim nas obowiązującym, że: “praca przymusowa – to jedno z zagadnień szczegółowych kompleksu problemów eksterminacji naszego najmłodszego pokolenia przez III Rzeszę”. Młodzież stanowiła 10-15% Polaków deportowanych na przymusowe prace do Rzeszy. Praca ta według wyroku w Procesie Norymberskim stanowiła najokropniejszą i najrozleglejszą akcję niewolniczą w historii. O tym, że w G.G. obowiązywał nakaz pracy od lat 14 mówi zarządzenie H. Franka. Na tzw. ziemiach wcielonych do III Rzeszy i byłych Prus Wschodnich, młodzież polska zmuszona była pracować od 12 roku życia – ustawowo, a w praktyce i poniżej tej granicy wieku. “Konkretne dane, które Pan przytacza, będą wykorzystywane w dalszych pracach Głównej Komisji nad tym zagadnieniem”. Minęły 24 lata, a Komisja Główna nie podjęła żadnej pracy w tym zakresie. Również Sąd w Łodzi powołał się na Rozporządzenie Komitetu Pracy i Płac, wymieniając tylko pobyt w obozach koncentracyjnych jako zaliczanych do okresów zatrudnienia. Przy tym już nie wymienił nawet, że w tym rozporządzeniu były również uznawane obozy pracy oraz inne okresy zatrudnienia uznawane w odrębnych przepisach. Z wielkim trudem w tamtym czasie udało mi się zdobyć te odrębne przepisy w małej książeczce wielkości dużego kalendarzyka kieszonkowego. Stanowiły one, że do okresów zatrudnienia “... obejmuje się służbę z poboru w charakterze szeregowca lub podoficera w Armii Niemieckiej pełnionej w okresie od września 1939 roku do 9 maja 1945 roku.”

Wojsko uznało mi te lata pracy dopiero w czerwcu 1994 roku, na mocy postanowienia Departamentu Kadr MON. W oparciu o protokoły zeznań

wszystkich świadków i sentencje wyroków sądu łódzkiego – negatywnych dla mnie i orzeczenia sądu warszawskiego, który podważył wyrok ostateczny wydany przez sędziego Milewskiego, który w czasie okupacji był malarzem mieszkaniowym w podeszłym już wieku. Sam się do tego przyznał na jednej z rozpraw. Nie daje mi to już żadnych korzyści, ponieważ nowa ustawa o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy, która weszła w życie w 1994 roku, wymaga tylko 30 lat łącznej pracy w wojsku i w cywilu. Ja zaś mam jeszcze ponad 4 lata cywilnej pracy po wojsku, której już mi nie wliczono do wysługi emerytalnej i Wojskowe Biuro Emerytalne nawet dokumentów z tej pracy mi nie przyjęło. Natomiast ten okres pracy okupacyjnej wliczono mi do lat przepracowanych w 1976 roku w pracy cywilnej, jak pracowałem na stanowisku specjalisty do spraw geodezyjno-kartograficznych i wojskowych w dużym przedsiębiorstwie w Łodzi. Wystarczyły przedłożone przeze mnie dwa zeznania na piśmie Ignacego Kołodziejskiego i Hipolita Drządzewskiego, ażeby Przedsiębiorstwo Geodezyjno-Kartograficzne wliczyło mi te lata do ciągłości pracy. Z tego tytułu miałem też nagrody jubileuszowe. Na podstawie zeznań wszystkich świadków, Wojewódzka Komisja Weryfikacyjna Stowarzyszenia Polsko-Niemieckiego "Pojednanie" w Łodzi, w 1994 roku też uznała moje dokumenty o mojej pracy okupacyjnej i wnioskuje przyznanie mi odszkodowania z tytułu poniesionych szkód w tej pracy. Jednak Główna Komisja Weryfikacyjna tego stowarzyszenia w Warszawie w swoim postanowieniu z 1995 roku nie zakwalifikowała mnie do żadnego odszkodowania, ponieważ nie przedstawiłem oryginalnych dokumentów niemieckich potwierdzających pracę przymusową 9-letniego dziecka w 1940 roku. W naszych warunkach Niemcy nie dali do ręki nikomu żadnych dokumentów, nawet podstarzałem Ignacemu Kołodziejskiemu, który w swoich zeznaniach napisał, że świadkami jego nadzoru nad tą naszą pracą są jeszcze żyjący bieżuniacy.

Potraktowano nas jak więźniów, którym też Niemcy nie dawali żadnych dokumentów. Nie musieli, bo żaden z uwięzionych nie wyszedł z więzienia w przypadku bieżuniaków.

Praca była trudna i ciężka. Obciążała naszych rodziców. Musieli nas karmić, przyodziewać, zaopatrywać w narzędzia pracy i we własnym zakresie leczyć znanymi tylko sobie sposobami. Żadnej pomocy medyczo-sanitarnej nie zapewniono nam ani w tej pracy, ani poza nią. A byliśmy okaleczani w tej pracy z różnych powodów. Przy częstym biciu nas

za niezbyt szybkie i dokładne wykonywanie pracy. Przy wykonywaniu pracy często doznawaliśmy różnych urazów i okaleczeń. Poza zamiataniem ulic i wyrywaniem trawy, w okresie zimy zatrudniani byliśmy przy odśnieżaniu tych ulic i innych zaśnieżonych tras

W okresie sezonu polowań na dziką zwierzynę, przeważnie zimą, w których brali udział Niemcy mundurowi i cywilni, wykorzystywano nas jako naganiaczy tej dzikiej zwierzyny, którą przedtem Niemcy podkarmiali. Były to przeważnie lisy, sarny i zające w dużej ilości. W związku z naszym udziałem w tych polowaniach byliśmy ciągle niewyspani, zmęczeni i przemoczeni, szczególnie stopy, ponieważ mieliśmy słabe obuwie, którego nie było czym zapastować. Pastowało się buty czarną sadzą z dodatkiem jakiegoś tłuszczu. Każdy we własnym zakresie, w zależności od umiejętności musiał wykonać na te polowania przyrząd taki, przy pomocy którego robiło się jak najwięcej hałasu. Robiło się więc trochę skomplikowane tzw. trajkotki czy kołatki z drewna, a w najgorszym wypadku musiało się mieć odpowiedni kij, co nie było pochwalane, było naganne. Ten sprzęt sprawdzano u każdego w nocy na zbiorce, a także obecność według dziennika szkolnego. Jeszcze w nocy byliśmy ustawiani w odpowiednim kierunku, jeden obok drugiego w tyralierę, na skraju lasów, łąk, krzewów i pól.

Na dany sygnał ruszaliśmy przed siebie, robiąc jak najwięcej hałasu, żeby płoszyć jak najskuteczniej zwierzynę. Byli między nami w dużych odstępach chłopci z okolicznych wsi, którzy nadawali kierunek posuwania się do przodu tej tyraliery. Po przejściu kilku kilometrów – jak już było widno, wtedy okazało się, że zrobiliśmy kocioł, zamknięte koło, w którym miały się i biegały wystraszone zwierzęta. Niemcy strzelali do tej zwierzyny nie zważając na grożące nam niebezpieczeństwo. Bo również strzelali w naszym kierunku, jak zwierzęta próbowały się wydostać z tego kotła i uciekały pomiędzy naszymi nogami. Gdy uciekaliśmy, bojąc się otrzymania postrzału, wtedy krzyczeli. Niektórzy z nas, ja także, zostali pobici za przepuszczenie zwierzęcia. Zabite zwierzęta zbieraliśmy i układaliśmy na wozy drabiniaste, które zaprzężone w konie chłopskie z nakazanego szarwarku, były kierowane do Bieżunia. Po zrobieniu zbiórki i sprawdzeniu obecności, rozpuszczano nas do domów.

Jak ustąpiła zima, to w pozostałych porach roku zmuszeni byliśmy pracować również przy robieniu torfu na dalekich łąkach za Władysławowem, pod Adamowem i pod Dębskiem. Czasem pracowaliśmy z dorosły-

mi więźniami. Tę kilkunastokilometrową trasę pokonywaliśmy pieszo w obie strony. Najwięcej w tych marszach ucierpiał Ignacy Kołodziejcki, ponieważ miał duże żylaki na łydkach, które krwawiły. Spocony i kulawy często musiał odpoczywać, czasami przy wysokiej temperaturze powietrza bez osłony drzew. Nam też było ciężko, ale byliśmy młodzi i jakoś dawaliśmy sobie radę. Byliśmy przy takich marszach okropnie brudni od kurzu, ponieważ wszystkie drogi były piaszczyste, a było nas ponad 100 w marszu trójkowym. Musieliśmy tak maszerować w szyku zwartym, żeby się nie "rozłazić" i nie wyglądać jak jakaś banda. Chciało nam się pić. To, co każdy miał ze sobą w butelce do skromnego posiłku, który najczęściej składał się u niektórych tylko z suchego chleba przydzielanego na kartki i prawdopodobnie z mąki z kasztanów – szybko zużyliśmy. Potem do chleba piliśmy wodę z torfniaków, niezbyt czystą. Najgorszy był powrót z tej pracy. Wtedy byliśmy jeszcze bardziej zmęczeni, głodni, spragnieni picia i jeszcze bardziej zabrudzeni od pracy przy torfie. Po przyjeździe do domu mieliśmy problemy z myciem się. Ja byłem w dobrej sytuacji, bo rzekę Wkrę miałem w pobliżu domu. Tylko przeszedłem przez swój ogród i już zawsze po każdej pracy mogłem się wykapać. Najgorzej było z mydłem, które otrzymywaliśmy z przydziału na kartki. Było ono śmierdzące i prawdopodobnie było robione z osób zamordowanych. Moja mama robiła lepsze mydło, którego składnikami – jak pamiętam – była m.in. soda kaustyczna i tłuszcz z hodowanych przez nas kaczek.

Organizowana nam praca przez komisarza w rzece Wkra też była uciążliwa i niebezpieczna. Trzeba było wrywać z niej zielsko gołymi rękami z dna rzeki z korzeniami i wybierać z niej różne zanieczyszczenia, które wczesną wiosną przez wezbraną wodę dostały się do jej koryta. Rzeka ta była kapryśna. Zawsze w czasie topnienia się lodów i w okresie jesiennych szarug występowała ze swego koryta i zalewała pobliskie ogrody i pastwiska na Jezioroku i Zębówkach. Czyszczenie tej rzeki odbywało się późną wiosną i wczesną jesienią. Woda w niektórych miejscach była głęboka, szczególnie bardzo było głęboko w pobliżu mostu. Trzeba było pływać i na oczach komisarza, niekiedy nurkować, żeby wyrwać widoczną trawę. Nie było to łatwe, ponieważ każdy był przemarznięty i często chwytaly nas skurcze nóg i rąk. Wtedy były wypadki topienia się z tego powodu i z powodu słabej umiejętności pływania przez niektórych. Ratowali ich koledzy. Byliśmy rozebrani do naga. Jedy-
nym okryciem na tyłkach były jakieś majteczki. Kalczyliśmy sobie dłonie ostrą trawą, zniszczonymi wiadrami, garnkami i kłodami drzewa, które woda

wezbrana zgaręła z pastwisk i pól. Dokuczał nam też “świerzb”, którym zarazaliśmy się od roślin wodnych.

Wielu z nas komisarz pobił w tej rzece z różnych powodów. Ja też zostałem pobity za to, że przewróciłem się w obecności komisarza i nie mogłem się podnieść. Wypadło mi wyrwać sitowie i kalmus przy brzegu rzeki, której dno było tak grząskie i mocno zamulone, że nic nie było widać co jest na samym dnie. Nagle wydawało mi się, że coś mnie ugryzło w prawą stopę tak boleśnie, że aż upadłem. Pomyślałem, że to szczur wodny, których w rzece było dużo. Okazało się jednak, że była to butelka litrowa rozbita, która głęboko wbiła się w moją bosą stopę. Ja leżałem na boku, a komisarz stojąc w łodzi, bił mnie człębkiem (drągiem) po głowie. Przestał mnie bić dopiero wtedy, jak woda wokół mnie zaczerwieniła się. Wyjąłem ze stopy butelkę, którą zobaczył. Kazał mi wyjść na brzeg i dalej popłynął łodzią. Pozostawił mnie samego bez jakiegokolwiek pomocy. Raz nadarzyła się okazja – jak komisarz przez jakiś czas był nieobecny z powodu przerwy obiadowej – że ojcowie nasi wsiedli na łodzie i kosami wycięli różne wodorosty na bardzo głębokiej wodzie w pobliżu mostu.

Po tej kilkugodzinnej kąpieli przy wyrwaniu trawy pewnego dnia rozboleł mnie ząb w dolnej szczęce, końcowy, z którym w domu nie mogłem sobie poradzić. Za radą mojej mamy udałem się na Glinki do jej rodzonej siostry – ciotki mojej Rydlewskiej. Zatrula mi ten ząb tzw. zajzajerem, który jest prawdopodobnie niczym innym jak $\text{HCl}(\text{H}_2\text{O})$ – kwasem solnym (prawdopodobnie chodzi o wodny roztwór kwasu solnego – przyp. red.). Ząb na jakiś czas przestał boleć, ale miałem popalone dziąsło i wargi. Na drugi dzień poszedłem do pracy już opuchnięty i z jeszcze większym bólem zęba. Wtedy ojciec wieczorem zabrał mnie do swego kolegi Michała Kacprzykowskiego i ten w prymitywny sposób wyrwał mi ten ząb po napojeniu mnie najpierw wódką – samogonem. W normalnych warunkach ten ząb, który pierwszy raz zabolał, mógłby być wyleczony.

Kiedyś mocno ochryplem i miałem silny kaszel. Wtedy mama leczyła mnie kwasem z kiszzonej kapusty przegotowanym z dodatkiem chyba pieprzu i tłuszczu.

Miałem wielkie wrzody. Wtedy jedynym lekarstwem na pęknięcie wrzodu były przykładane do niego liście bobkowe.

Takimi środkami i sposobami byłem leczony ja i chyba większość z nas pracujących przymusowo.

Niemcy budowali swój cmentarz ewangelicki. Płyty z piaskowca zabierali z kirkutu, niszcząc cmentarz żydowski. Wykopali na nim okopy i odbywali na tym cmentarzu ćwiczenia. Cmentarz swój nisko położony, wynieśli do wysokiego wzgórza poprzez nawożenie dużej ilości ziemi. Ścieżki wysypali żwirem. Przy budowie tego cmentarza zatrudnili również nas. Pewnego dnia nakazano przynieść nam z domów naszych łopaty, wiadra i grabki. Ja przyniosłem metalowe grabki, którymi zagrabiałem te pokryte żwirem ścieżki, wyłuskując z nich kamienie nawiezione z tym żwirem. Inni mający wiadra, nakładali do wiader te kamienie i wynosili poza cmentarz. Naraz jeden z pomocników komisarza kazał przekazać mi swoje grabki o wiele starszemu ode mnie i silniejszemu Osmańskiemu, który mieszkał w uliczce naprzeciwko kościoła. Natomiast jego wiadro ja musiałem przejąć i nosić nim kamienie. Jak już nie mogłem dalej ich nosić, bo osłabłem i zabrakło mi sił, to ten sam pomocnik komisarza zmuszał mnie do tego przez bicie kijem. Nie wytrzymałem tego bicia i pokrwawiony uciekłem do domu. Na mój widok ojciec wybiegł z domu i usiłował udać się na cmentarz, żeby rozprawić się ze sługą komisarza. Ale płacz mamy i sióstr oraz interwencja sąsiada, powstrzymały go od tego zamiaru. Dobrze się stało, że nie dotarł do tego cmentarza, bo mógłby tam zginąć.

Nasz cmentarz rzymsko-katolicki też Niemcy niszczyli. Zaczęli od rozbierania parkanu, który pobudowany był z kamienia. Kamienie z niego wywożone były podwodami do rozpoczętej budowanej szosy z Bieżunia do Zawidza. Składano je w pryzmy i rozpoczęto tłuczenie tych kamieni o każdej porze roku. Przy tłuczeniu tych kamieni wykorzystywano więźniów. Nawet wujek Julian był zatrudniony przy ich tłuczeniu przy silnym mrozie, chociaż nie był więźniem. Przy rozbieraniu parkanu my również braliśmy udział, jak również przy układaniu kamieni w pryzmy. Pracowaliśmy wtedy z dorosłymi więźniami pod nadzorem strażników niemieckich.

Braliśmy też udział razem z więźniami przy rozbiórce niektórych domów żydowskich i po wysiedleńcach polskich. Drewno odzyskane z tych domów było potem rąbane przez więźniów, a przez nas układane w sterty. Służyło ono Niemcom do opalania w urzędach. Do tej pracy też niektórych z nas wykorzystywano.

Wyznaczeni z nas – codziennie inni – po dwóch lub pojedynczo – musieliśmy wypasać gęsi i kozy komisarza do południa i w godzinach popołudniowych, a także w niedzielę, przez cały dzień. Było to zajęcie najłżejsze, ale bardzo niebezpieczne szczególnie wtedy, jak to wypasanie

odbywało się w ogrodzie komisarza z różnymi drzewami owocowymi. Owoców z tych drzew nie wolno nam było zbierać i zjadać. Jeden z nas próbował naruszyć ten zakaz, bo myślał, że komisarz nie zauważy, jak podniósł jabłko i próbował je zjeść. Komisarz to jednak zauważył, zszedł z balkonu do ogrodu i zabrał chłopca do stajni. Najpierw pobił go kijem, a potem próbował powiesić go na łańcuchu, którym przywiązywano konie.

Wykonywaliśmy też inne lżejsze prace i mniej niebezpieczne, takie jak: zbieranie kamieni na polach i kłosów po żniwach na ścierniskach skoszonych zbóż. Władze niemieckie żądały żebyśmy utrzymywali miasteczko w należytej czystości i mieli odpowiednie narzędzia do pracy. W najmniejszym stopniu nie zatroszczyły się o to skąd my i nasi rodzice mamy je brać. Na początku wydali nam tylko raz miotły do zamiatania ulic. Miotły te zużyliśmy w krótkim czasie przy codziennym zamiataniu. W sklepach niemieckich kupić ich nie mogliśmy, bo ich w ogóle nie było. A nawet małe sklepiki polskie zostały zlikwidowane, w tym i sklepik mojego wujka Suchodolskiego, który miał sklep przy rynku. Wujka Suchodolskiego Niemcy wypędzili z całą rodziną z domu nocą i razem z innymi wysiedlonymi zamknęli w naszym kościele pod nadzorem. W nocy pomogłem mu uciec z żoną i córką z tego kościoła. I po zaopatrzeniu w żywność w naszym domu, wyprowadziłem tę całą rodzinę z Bieżunia w kierunku Władysławowa. Rzemiosło polskie istniało w ograniczonym zakresie. Ale żeby coś naprawić, to tylko za wynagrodzeniem w jakiejś naturze.

Miotły jednak musieliśmy mieć pomimo niemożliwości ich zakupu. Potrzebny był do ich wyrobu tzw. chrust, który pochodził z gałęzi brzoź. A udanie się po niego do lasu Polakom było zabronione. W borku bieżuńskim rosło dużo brzoź, ale wejść do niego było ryzykowne, ponieważ był pod stałym nadzorem gajowego, który mieszkał przy tym borku tuż przy samym kirkucie żydowskim. Nie pozwalał wejść nawet na zbieranie grzybów, których było mnóstwo.

Najlepsze były miotły osadzone na długich kijach, które miały tę zaletę, że były łatwiejsze dla nas do zrobienia i nie wymagały zużycia tak dużej ilości chrustu, jak przy miotłach normalnych. Potrzebne więc były długie, trudno łamliwe kije, których zdobycie też wymagało udania się do lasu. Uchwycenie takiej miotły za koniec kija pozwalało od razu zamieść szeroki pas działki – ulicy każdemu z nas codziennie wyznaczonej przez oddziałowego. Zmuszeni byliśmy kraść z lasów nie tylko gałęzie brzoź, ale także potrzebne nam kije.

Musieliśmy też wrywać trawę z bruku. Jak mamy to robić i czym – nikt nam o tym nie powiedział. Naśladowaliśmy więc Żydów, którzy wykonywali tę pracę, jak jeszcze byli w Bieżuniu. Tak jak oni siadaliśmy lub klęczeliśmy na bruku, albo w kuckach pochyleni – i wrywaliśmy ją najpierw łyżkami do jedzenia przyniesionymi z domu. Wkrótce okazało się, że łyżki zabierane naszym matkom nie są odpowiednie, bo łamały się i chociaż były przez nas ostrzone, z trudnością nimi wrywaliśmy trawę, bo była twarda i poskręcana. Wpadliśmy na pomysł robienia tzw. skrobaczek, które się najlepiej nadawały do tej pracy. Najlepszym materiałem do ich zrobienia był pasek twardej stalowej blachy, której jeden koniec był zakrzywiony i obustronnie zaostrowany. Tylko za zgodą komisarza mogliśmy opuścić pracę na jakiś czas. Inne przypadki nie były tolerowane, nawet spóźnienia się do pracy. Dowodem na to jest przypadek Włodzimierza Rochowicza, który nie zgłosił się do pracy. W związku z tym komisarz wysłał po niego oddziałowego i jeszcze jednego mu towarzyszącemu. Przyprawdzili Rochowicza bladego i ledwie utrzymującego się na nogach. Widać było, że był chory. Komisarz nakazał go położyć na drodze żwirówce na brzuchu i rozkazał Kołodziejskiemu bić go kijem, który musiał w pracy nosić. Ponieważ komisarzowi wydawało się, że Kołodziejski zbyt słabo bije, więc komisarz swoim kijem jałowcowym kilka razy uderzył Kołodziejskiego i potem pokazał jak powinno się bić Rochowicza, wymierzając mu ciosy. Wręczył swój kij Kołodziejskiemu i dalej zmusił go do bicia leżącego. Kij komisarza później Kołodziejski musiał nosić z sobą. Całe nasze zgrupowanie przez cały czas, od wysłania po Rochowicza, musiało stać na baczność nieprzerwanie, aż do wymierzenia mu kary.

Nasi rodzice byli bezradni. Płakali na widok obdartych, brudnych i głodnych.

Ci chłopcy, którzy ukończyli 14 lat, kierowani byli w głąb Niemiec do pracy w fabrykach i w rolnictwie niemieckim. Przez to rodzicom było źżej, ale pozostawała duża rozpacz spowodowana rozstaniem, niepewność czy kiedyś wrócą do domu.

Komisarz Springer występował najczęściej w mundurze brązowym z opaską ze swastyką, z lornetką na szyi, z bronią boczną, a przed nami jeszcze z kijem lub z pejcem zakończonym ciężarkiem ołowianym i z psem Maruską. Popędzał nas przy pracy krzycząc „Mytko, mytko!”. Był w gminie władcą absolutnym i srogim. Bali się go nawet Niemcy. Bo i staremu Niemcowi Ciepiałuszowi kazał biegać za jakiego przewinienie dookoła siedziby urzędu komisarza.

Przyszło wyzwolenie i z nim odkryte zbrodnie

Przyszło wyzwolenie Bieżunia. Pozostała nienawiść do Niemców. Wielu było żądnych odwetu. Inni oczekiwali powrotu swoich bliskich z więzień hitlerowskich. Moja rodzina też oczekiwała powrotu ojca. Ci, co siedzieli w więzieniu w Sierpcu, powrócili do swych domów w trumnach. Zostali zastrzeleni i prawie całkowicie spaleni razem z budynkiem więziennym. Jednak wszyscy ci, zabrani w obławie i po niej aresztowani, wciąż nie wracali. Nie wiadomo było nadal, gdzie ich wywieziono i co z nimi się stało. Dochodziły różne wieści, że gdzieś daleko odkryto wspólne mogiły pomordowanych. Również po pewnym czasie nadeszła wiadomość, że i za Płockiem w lesie brwileńskim odkryto jedną wielką mogiłę. Wybrałem się więc ze stryjecznym bratem Stefanem Filarskim w poszukiwaniu tej mogiły w nadziei, że może nie znajdziemy w niej mojego ojca. Myśleliśmy, że może został gdzieś daleko wywieziony i nie może powrócić z powodu wojny. Okazyjnie dotarliśmy do Sierpca, w którym na dachach płaskich domów były ustawione działa przeciwlotnicze, a na ziemi okopane wokół Sierpca też działa. Pociągiem towarowym, wojskowym, którym jechałem po raz pierwszy w życiu, dotarliśmy razem z żołnierzami Armii Radzieckiej do Płocka. W Płocku ten sam obraz wojenny i jeszcze więcej dział. Wszędzie ustawione były działa okopane i na dachach działa przeciwlotnicze.

Po spożyciu chleba ze słoniną i popiciu go kawą ze zboża, która była osłodzona sacharyną, zaczęliśmy pytać ludzi o ten las z mogiłą. Płocka, ani terenu, jaki nam wskazali, nie znaliśmy, żeby trafić do lasu. Szliśmy na wyczucie cały czas nad Wisłą, aż w końcu trafiliśmy do tej mogiły. Było sporo ludzi. Jedni wyciągali ofiary z głębokiego dołu, a inni stali obok nad tym dołem i tych pracujących popędzali czasami biciem. Ci pracujący w dole to byli Niemcy w różnym wieku, starzy i młodzi w wieku wojskowym, których najwięcej bito. Był silny odór trupi, do którego szybko się przyzwyczailem, lecz przez dłuższy czas po opuszczeniu tego lasu wciąż mi towarzyszył. To był chyba marzec 1945 roku. Było ciepło, chociaż śnieg miejscami w lesie jeszcze występował. Trupy Niemcy układali na ziemi w rzędach. Obszedłem te rzędy dwa razy i ojca nie rozpoznałem. Było to trudne, ponieważ każdy z nich był utyflany w jasnym piasku od stóp do głowy. Na tym przestałem prowadzić rozpoznanie. Pojawił się leśniczy tych lasów, do którego razem z innymi zbliżyłem się. Opowiadał, że z ukrycia w tym lesie obserwował jak ten zbiorowy mord

się odbywał. Chyba w przeddzień więźniowie wykopali ogromnej wielkości głęboki dół. Musieli się nie domyślać, że kopią go dla siebie. Następnego dnia przywieziono wszystkich więźniów w jednej kolumnie samochodów do tego lasu w pobliżu tego dołu. Wypuszczano ich po dziecięciu i ustawiano nad tym dołem. Potem uderzali ich różnymi ciężkimi narzędziami, również strzelano w tył głowy i spychano ich do tego dołu. Wypuszczana następna dziesiątka zasypywała leżących w dole jeszcze żywych – jak przypuszczał. Z kolei zabijano w ten sam sposób tę dziesiątkę i wypuszczano następną do takiej egzekucji. W taki sposób zamordowali ponad 200 osób, które zagrzebano w jednym dole. Ostatnich dziesięciu Niemcy sami przykryli ziemią tak płytko, że wystawały na wierzch ręce i nogi. Mogiła ta przez jakiś czas poruszała się. Tętniło w niej jeszcze życie. Zbliżał się front i dlatego Niemcy tak się spieszyli. Leśniczy mówił, że ten mord był dokonany w styczniu 1945 roku.

Po wysłuchaniu tej opowieści znowu przystąpiłem do szukania ojca wśród tych pomordowanych. Obszedłem wszystkie rzędy, ale już zaopatrzyłem się w gałąź sosnową, którą odgarniałem każdemu długi but z cholewami. Wszyscy mieli na sobie swoje ubrania, w tym swoje obuwie na nogach. Przypomniałem sobie, że ojciec był zabrany z domu w długich butach stryjka Julka, w których ten był postrzelony w prawą nogę. W wyniku tego ta cholewa była z przodu rozerwana – miała wielką dziurę. Kamasznik Sadowski ją załatał w charakterystyczny sposób. Tą gałęzią oczyściłem każdemu prawy but z przyklepionego do niego jasnego piasku, aż natrafiłem na but ojca. Dla pewności odpiąłem marynarkę i kamizelkę, którą też oczyściłem. Wszystko było z ufarbowanego płótna na ciemny kolor. Pasek francuski, który ojciec przez lata nosił przy spodniach, też miał na sobie. Został mu wręczony w prezencie od brata Julka, gdy ten przyjechał z Francji. Nie miałem już najmniejszej wątpliwości, że to był mój ojciec. Nie rozpoznałem ojca po twarzy z wielu powodów. Miał ciekłą warstwę piasku, którą pokrył szron przymrozku. Włosy miał ogolone do zera. Prawa szczęka złamana w sposób widoczny. Sama twarz zniekształcona. Dłonie rąk mocno zaciśnięte w pięści. Skóra odchodząca ledwie zwijała się jak kora od starych brzoź.

Na taki widok ojca rozplakałem się. Bo był mi tak bliski i kochany. Obiecał mi powrócić niedługo do domu, jak wychodził z podwórza gestapo. Byłem w tak głębokiej rozpacz i przejęty tak mocno tym, co widziałem, że nawet nie pamiętam jak przyszedłem do Płocka w butach z długi-

mi cholewami, ale na spodach drewnianych. Nie pamiętam też jak dostałem się z Płocka do Sierpca i z Sierpca do Bieżunia. Mój starszy o wiele lat brat stryjeczny Stefan Filarski, opiekował się mną w tej drodze powrotnej.

Wśród zamordowanych był między innymi ojciec z dwoma synami, z którejś wsi w pobliżu Bieżunia. Ojciec i starszy syn ponad 20-letni, mieli wbite do głów wielkie gwoździe. A 16-letni był zamordowany w taki sam sposób jak inni. Przekazaliśmy po przyjeździe tę wiadomość do Bieżunia i okolicznych wsi. Wszyscy zabici potem leżeli pod kościołem w oczekiwaniu na wspólny pogrzeb. Mój ojciec, jedyny z Bieżunia, leżał przed domem w trumnie odkrytej i też oczekiwał na ten pogrzeb.

Pogrzeb był uroczysty z księdzem, chyba Pszczółkowskim – proboszczem. Trumna szła za trumną, a orkiestra grała marsza żałobnego. Były przemówienia i płacz bliskich.

W Bieżuniu rozpoczęły się polowania na Niemców, którzy nie zdążyli uciec lub pozostali z innych przyczyn. Były wypadki samosądów i ginięcia osób niewinnych, jak sądził.

Były trzy Niemki, matka i dwie córki, które przybyły z pobliskiej wioski i osiadły w Bieżuniu. W okresie okupacji miały sklep włókienniczy. To chyba była Wojdyrowa z córkami. Jak polskie kobiety ustawiły się w kolejce, żeby coś w tym sklepie na kartki kupić, to te panny z balkonu polewały je często gorącą wodą. Nie wiadomo było czy za pozwoleniem matki. Po wyzwoleniu zostały złapane. Wsadzono je na furmankę i wożono dookoła rynku. Ludzie rzucali w nie kamieniami. Pomimo ochrony milicji, która miała tylko opaski biało-czerwone na ramieniu, wiele kamieni trafiło Niemki. Wsadzono je potem do aresztu poniemieckiego i zamknięto.

Na Glinkach mieszkał Peciak, pełnoletni i silny mężczyzna. Dorosli się go bali, ponieważ był nieobliczalny w swoim postępowaniu. Mówiono, że był nienormalny. W naszym wieku niektórzy chłopcy dokuczali mu w taki sposób, że aż ich gonił po polach i łąkach. A ponieważ byli rozbici na grupy i krzyczeli z różnych kierunków, to zmieniał często kierunek swojej pogoni. Gonił przez to raz jednych, raz drugich. Nikogo nigdy nie złapał. Zabawy te odbywały się w niedzielę. Podobny do niego był Jan Machura, który na sam krzyk „Machura!”, już gonił młodzież po polach. Otóż ten Peściak przyprowadził pewnego dnia z Władysławowa starego Niemca Szmidta – teścia Bedtnera, który ze swoim synem naj-

starszym służył w lotnictwie niemieckim. Niemcy i wnuki Szmidta uważali go za wariata, ponieważ prawie nigdy nie mówił, a tylko powtarzał "Jak przyjdą Rosjanie, to wam łby poukręcą za to, co robicie". Takie wiadomości mieliśmy od znajomych z Władysławowa. Prawdopodobnie za to Niemcy go bili. Jak Szmidt znalazł się z Peściakiem koło naszego cmentarza, to zraz otoczyła ich spora grupa bieżuniaków, w tym i ja. Oświadczył zebranym, że to jest komisarz niemiecki i zaczął go bić tak mocno, że aż Szmidt upadł pokrwawiony. Tylko raz udało mi się krzyknąć, że ja tego człowieka znam, że to nie jest komisarz. Ale coraz więcej zebranych ludzi milczało. A Peściak leżącego po głowie tak kopał, że ten ledwie dawał oznaki życia. W tym czasie przechodził koło nas żołnierz radziecki z pepeszą. Jak dowiedział się od Peściaka, że to jest germaniec i komisarz, to dobił leżącego z tej pepeszy serią wystrzałów.

Przy ulicy Zamkowej, tuż przy rzece – dopływie Wkry, mieszkał w swoim domu od niepamiętnych czasów, stary Niemiec Ciepiałusz. Myślał pewnie, że nic mu nie grozi ze strony Polaków, ponieważ w czasie okupacji żył sobie skromnie i cicho, tak jakby go nie było. Pomimo to ktoś zabrał go w nocy z domu i utopił w przeręblu w zbiorniku wodnym koło młyna. Miał zanurzoną tylko głowę i tak pochylony na klęczkach pozostał zamrożony w tej pozycji nad tym przeręblem. Wyglądało to z daleka, jakby nabierał wodę.

Dla ochrony pozostałych Niemców i Niemek postanowiono trzymać ich w dobrze zamkniętym areszcie. Wsadzono też do niego starą Bedtnerkę przyprowadzoną z Władysławowa. Włamano się w nocy do aresztu i ktoś po ciemku do nich strzelał. W wyniku tego starej Bedtnerce przestrzelił szczękę. Żyła potem wśród Polaków z oszpeconą twarzą chyba w swoim domu we Władysławowie. Ponad 16-letnią Wandę Bedtner zabrałiśmy do własnego domu. Pomagała mamie w domu i w polu przy różnych uprawach. Traktowaliśmy ją jak członka rodziny. Otrzymywała wszystko to co i my dzieci, chociaż była z nas najstarsza. Spała razem z nami w pokoju. Jadła z nami przy jednym stole. Jej starszy brat Paul był w Kobyłej Łące. Pomagał w gospodarstwie kobiecie, której mąż został zastrzelony przez żandarmów. Przychodził do nas w niedzielę, przeważnie w odwiedziny do siostry. Na początku okupacji sam zamieszkał na stancji w Bieżuniu, bo musiał się uczyć. Chodziłem do niego, żeby się uczyć chociaż po niemiecku. Potem musiał nosić czarny mundur z opaską na rękawie ze swastyką. I nasze codzienne kontakty urwały się na zawsze.

Najmłodszy z tej rodziny Janek, chyba żył przy matce. Najstarsza i najładniejsza Elza, była gdzieś w Niemczech w czasie okupacji i przez jakiś czas elegancko ubrana, matkę odwiedzała w towarzystwie podoficera Wehrmachtu. Sama też nas odwiedzała. Jak ich ojciec i najstarszy syn Bedtnera byli na urlopie z wojska, to też w początkach okupacji nas odwiedzali w Bieżuniu. Zrobili nawet mnie i mojej najstarszej siostrze Irenie zdjęcie pamiątkowe. Potem słuch o nich zaginął.

Pewnej nocy, może w 1950 roku, Wanda i Paul, bez pożegnania się z nami, opuścili nas i udali się nie wiadomo dokąd. Wyglądało na to, że uciekli, bo zabrali wszystkie swoje rzeczy i zaopatrzyli się w dużo żywności. Nie szukaliśmy ich, bo i po co, jeżeli taka była ich wola. Ale było nam bardzo przykro, bo byliśmy z sobą bardzo zzyci.

Po wojnie zamieszkaliśmy na ulicy Sierpeckiej w większym od naszego domu, po Fraużu, który uciekł z Bieżunia z całą swoją rodziną. Bawili się ciągle w tym domu mundurowi Niemcy. Pan Frauż z zawodu szewc, zatrudniał w czasie okupacji wielu robotników Polaków w swoim rzemieśle. Nie wiadomo czy im płacił. Dom ten razem z przyległą działką ogrodową wykupiliśmy od Państwa Polskiego.

W czasie okupacji Niemcy zabrali z domów w Bieżuniu wszystkie przedmioty i urządzenia mosiężne, w tym i klamki do drzwi w mieszkaniach. W pierwszej kolejności padły ich łupem wszystkie dzwony kościelne. Po wojnie sprowadzono do Bieżunia najpierw największy dzwon z ziem zachodnich, podobny do tego, jaki Niemcy zabrali na przetopienie. Jednym z ojców chrzestnych tego dzwonu, w czasie jego wyświęcania, był mój stryj Julian Filarski, wówczas pierwszy sekretarz PPR w Bieżuniu.

Po wyzwoleniu nadeszły dla Bieżunia ciężkie i niebezpieczne czasy. Podczas okupacji Bieżunia alkohol dla Polaków był zabroniony. Za wyrabianie bimbru wielu znalazło się w więzieniu, z którego nikt już nie wyszedł. Traktowano to jako sabotaż. Zaraz po wyzwoleniu powstała gospoda, której właścicielem był Narkiewicz, Polak z Białorusi, były zasłużony i w czasie walk ranny żołnierz Armii Radzieckiej. W tej gospodzie część chłopów wciąż siedziała i z radości odzyskanej swobody, albo ze zmartwienia upijała się. Szczególnie wtedy, jak w czasie słynnych na cały kraj jarmarków zwierzęcych, była okazja do opicia tzw. "litkupu" (tj. ugody zawarcia transakcji handlowej). Przeważnie wszyscy opuszczali gospodę pijani, co stawało się poważną udręką dla wielu domów i dla dzieci, które

musiały wyprowadzać swoich ojców, bo nie mogli się utrzymać na własnych nogach. Najgorzej było z tymi z wiosek, bo nie mogli trafić do własnych domów i leżeli gdzieś pod murem w Bieżuniu.

Ponadto działało podziemie leśne, które kilka razy odwiedzało Biezuń zawsze w nocy i raz w dzień. Za każdym razem strzelano do posterunku milicji, który był ulokowany na piętrze kamienicy. Okna posterunku były zabezpieczone żelazną kratą i siatką drucianą przed granatami, a drzwi obite stalową blachą. Nigdy ten posterunek z ukrytymi w nim milicjantami nie został zdobyty. W nocy strzelano też dla wywołania strachu, popłochu wśród mieszkańców. W tym celu strzelano seriami z kul świetlnych. Wywierało to ogromne wrażenie. W wyniku tego pewnej nocy, cała moja rodzina wybiegła z domu i skryła się w ogrodzie pomiędzy główkami kapusty. A kule świetliste latały nad naszymi głowami. W tym czasie okradziono duży sklep bławatny i próbowano okraść gminną kasę. Tu im się nie powiodło, ale udało się im okraść gminę Sławęcín.

Pewnego dnia w czasie dużej przerwy w gimnazjum, zobaczyliśmy żołnierzy polskich z różną bronią na rynku i na ulicy prowadzącej od rynku do ulicy Kościelnej. Nic do nas nie mówili i o nic nie pytali. Na rynku oddali serię strzałów z RKM-u. Potem rozległy się strzały powtórne z karabinu maszynowego gdzieś w okolicy cmentarza. My, uczniowie, byliśmy tym mocno podnieceni i pomimo zakazu historyka Cegielskiego, pobiegliśmy w kilku w kierunku tych strzałów.

Odbywał się wielki jarmark cotygodniowy, na który przyjechali kupcy aż z Gdyni. I cała tragedia w wyniku tych strzałów odbyła się na tym jarmarku ze zwierzętami. Weszliśmy pomiędzy tłum zgromadzonych handlarzy i naszym oczom pojawiły się leżące ofiary. Było to pięciu milicjantów, którzy przyjechali z Sierpca. Wszyscy mieli postrzały z tyłu głowy, a kule wraz z mózgiem wyleciały wszystkim czołem. Relacja świadków była taka: „z naszego cmentarza zaczął strzelać ciężki karabin maszynowy nad głowami handlujących. Od niego został ranny jeden rolnik i zabita jedna krowa. Jak milicjanci chwycili swoje automaty, żeby strzelać, wtedy cywile z krótkiej broni oddawali strzały tym milicjantom w tył głowy”. Byli to ludzie z tego samego oddziału ubrani po cywilnemu. Był też w tym czasie sierżant przedwojenny WP, który był komendantem posterunku MO w Bieżuniu. Jemu stojącemu w innym miejscu z pepeszą udało się zbiec pomimo, że do niego strzelano. Odciał konie zaprzęgnięte do chłopskiego wozu i na jednym z nich uciekł do borku biezuńskiego

ostrzeliwując się. Po napadzie tej bandy, jak ją wówczas nazywano, przebranej w mundury żołnierzy Wojska Polskiego, po kilku godzinach zaalarmowany Sierpc, przysłał pięciu ubowców, którzy przyjechali do Bieżunia samochodem marki "Willis" z automatami. Tłumaczyli, że musieli iść pieszo tam, gdzie szosa przechodziła przez lasy. Bali się zasadzki, ponieważ łączność z Sierpcem nie została przerwana. W takich zasadzkach zginęło bardzo dużo wojska i milicjantów, którzy jechali na pomoc napadniętym miasteczkom. Ta grupa z podziemia posuwająca się w dzień w kolumnie samochodów i furmanek, została gdzieś daleko od Bieżunia rozbita przez zaalarmowane wojsko, pracujące przy sianie.

Nikt z milicjantów bieżuńskich w czasie działania podziemia nie zginął. Natomiast wszyscy komendanci MO w stopniu sierżantów, przeniesieni z Bieżunia do Żuromina, zostali tam zastrzeleni. Np. sierżant Kinalski Stanisław był jednym z nich. Pewnego dnia wieczorem, gdy byłem na spacerze z Tadeuszem Strzałkowskim i z jego sympatią Ksawerą Błaszczak, usłyszeliśmy strzały seryjne z automatu i strzały pojedyncze w ulicy Sierpeckiej. Pobiegłem do domu z przeczuciem, że może to u nas, bo wujusć Julian był pierwszym sekretarzem PPR. Nie myliłem się. W kuchni było wiele osób wystraszonych z rękami podniesionymi do góry. Wujek Kowalski z Władysławowa i Ukrainiec cywil z Armii Radzieckiej, którzy pomagali nam w gospodarstwie, Wanda Bedtner, babcia, mama z trzema siostrami i jeszcze ktoś z mężczyzn – obcych, pomagających nam dorywczo. Brakowało tylko wujusia i siostry Jadzi. Wtedy wujusć mógł się poruszać tylko o dwóch kulach, ponieważ postrzelona noga jeszcze się nie wygoiła. Dowiedziałem się od nich, że przyszło do nas trzech ubowców, którzy przyjechali z powiatu Sierpc. Mama postawiła im kolację. Zjedli, o czymś z wujusiem porozmawiali i opuścili mieszkanie. Po pewnym czasie jeden z nich wszedł do kuchni z automatem gotowym do strzału. Krzyczał: "Ręce do góry, nie ruszać się, bo będę strzelał. Nie jestem sam. Gdzie jest Filarski?". W tym czasie mała Jadzia, rocznik 1940, wybiegła do pierwszego pokoju z krzykiem "Wujusiu, banda, banda!". Wujusć już spał, ale obudził się i wpuścił Jadzię do swojego pokoju. Zamknął drzwi na haczyk, wziął pistolet i razem z Jadzią wszedł na strych mieszkania i ukrył się za kominem. W międzyczasie ubowiec wyrwał drzwi i udał się za wujusiem strzelając w przedpokoju i krzyczał, żeby wujusć poddał się. Jak usłyszał strzały oddane przez wujusia, wtedy jeszcze sobie postrzelał w kierunku strychu i wyszedł drzwiami przedpokoju od frontu

do ulicy. Pomiął w ten sposób kuchnię, o czym domownicy nie wiedzieli. I dlatego, chociaż go już nie było, wciąż wszyscy trzymali ręce w górze, myśląc, że jest ich więcej w podwórzu. Po tym incydencie przybyła na odgłos strzałów milicja. Nie mogła znaleźć zamachowca. Był ukryty w bramie pomiędzy dwoma domami. Wujus go znalazł., rozpoznał i oddał w ręce milicji. W tych czasach trudno było odgadnąć kto jest przyjacielem, a kto wrogiem gotowym zamordować. Dlatego ludzie nie mówili do siebie szczerze o polityce. Ukrywali swoje prawdziwe poglądy na bieżące wydarzenia. Podobna była sytuacja, jak w czasie barbarzyńskiej okupacji.

Wiem, że wujus sprzyjał akowcom i przedwojennym urzędnikom. Dlatego mógł czuć się bezpieczny.

Młodego wiekiem akowca Zdrojewskiego wysłał do szkoły oficerskiej, którą ukończył i był pierwszym oficerem paradującym po ulicach Bieżunia w pięknym mundurze przedwojennym. Był w stopniu pułkownika. Z nim i kapitanem Zdzisławem Mączewskim na urlopie biesiadowałem przy jednym stole u jego teścia w Bieżuniu, który mieszkał przy ulicy Kościelnej naprzeciw kościoła. Był nim Staniszewski.

Wujus powołał komisję do spraw odzyskania mienia. Przy pomocy tej komisji odbierał mienie znajdujące się w posiadaniu polskich rodzin przejęte po Niemcach, które przedtem było zrabowane Polakom przez Niemców. Przykładem może być Dobrzeniecka, matka Ireny, która miała sklep spożywczy na rynku. U którejś rodziny rozpoznała swoją otomanę. Za sprawą wujusia otomana ta wróciła do prawowitej właścicielki.

Władze Bieżunia miały poważny problem z uruchomieniem młyna Ilskiego Jana. Ktoś w czasie wyzwolenia Bieżunia wykradł pasy młyńskie. Na Ziemiach Odzyskanych nie można było ich zdobyć. Po pewnym czasie prowadzone poszukiwania doprowadziły do ustalenia, że pasy te muszą znajdować się we wsi Strzeszewo. Jak jedni uciekali z Bieżunia przed pociskami artyleryjskimi w obawie, że mogą być zabici, to niektórzy chłopci z narażeniem życia, nie bali się rozrywających się wszędzie pocisków i przyszli do Bieżunia okradać sklepy poniemieckie i młyn. Znalezione te pasy na tej wsi u pewnego chłopca, odzyskano je i młyn uruchomiono.

Mełł zboże przez cały czas wiatrak Bonisławskiego, ale nie nadażał.

Po wyzwoleniu Bieżunia, nastąpiło uroczyste otwarcie Szkoły Powszechnej im. Andrzeja Zamojskiego. Były przemówienia. Przedstawiono nam grono nauczycielskie, które nie było jeszcze w pełnym składzie,

jakiego potrzebowała szkoła 7-klasowa. Skład uczniów był o dużej rozpiętości wiekowej. Od panienek i kawalerów w wieku dojrzałym, do dzieci od 7 roku życia. Ja miałem około 14 lat. Wszystkich podzielono na klasy, w zależności od tego ile kto miał ukończonych klas przed wojną lub zdobył jakieś wykształcenie w czasie okupacji w tajnym nauczaniu. Kto miał świadectwo szkolne, to go przekazywał szkole, a kto go nie miał, też było dobrze.

Spośród grona nauczycielskiego wydawało mi się, że nikogo nie znam. Wszyscy byli obcy. Przed wojną chodziłem do szkoły we wsi Mak, gdzie ukończyłem jedną klasę. A uczyła mnie pani Aptewicz z Bieżunia, która jednocześnie o tym samym czasie w jednej sali uczyła klasę drugą i trzecią.

Uwagę moją zwróciły na siebie dwie osoby. Przystojny elegancki oficer Wojska Polskiego, który miał na sobie mundur, jaki zapamiętałem u oficerów polskich przed wojną. Miał na sobie kurtkę wojskową z patkami srebrnymi zapinanymi pod brodą, opasany pasem oficerskim z koalicijką, spodnie bryczesy wpuszczone w eleganckie buty oficerki i czapkę rogatywkę. Byłem urzeczony jego wyglądem i chyba nie tylko ja. Był to porucznik Wiktor Sadkowski, który został kierownikiem naszej szkoły. Występował przez pewien okres w tym mundurze w szkole. Drugą osobą przypominającą mi kogoś znajomego i bliskiego była pani Aptewicz, z którą spotkałem się później w drugiej klasie – jak przyszła do niej i oświadczyła, że będzie naszą wychowawczynią i uczyć nas będzie języka polskiego i rachunków. Pani Aptewicz rozpoznała mnie w klasie przy czytaniu listy obecności. Po lekcjach wpadliśmy sobie w objęcia, jak krewni po wielu latach rozłąki okupacyjnej. Byliśmy szczęśliwi, że przeżyliśmy. Uspokajała mnie, jak nie mogłem mówić z rozpaczy z powodu straty ojca i zranionego stryjka Juliana, który musiał jeszcze leżeć z niezagojoną raną postrzałową.

Rozpoczęła się w mojej klasie nauka pod kątem sprawdzianu wiadomości z matematyki i języka polskiego. Polegało to na umiejętności czytania i na pisaniu podyktowanych tekstów.

A matematyka na obliczeniach w oparciu o znajomość tabliczki mnożenia, którą pamiętałem jeszcze sprzed wojny od wieku przedszkolnego. W czasie okupacji nikt mnie nie uczył. Ale dużo czytałem, co tylko znalazłem w języku polskim. Dlatego w tym czasie płynnie czytałem i mało robiłem błędów przy pisaniu dyktand. Doszło do tego, że z polecenia nauczycielki czytałem na głos całe czytanki i wiersze dla całej klasy. Po

pewnym czasie pani Aptewicz, nic mi nie mówiąc, chwyciła mnie za rękę i zaprowadziła do klasy trzeciej, którą uczyła pani Matkowska. Klasa trzecia miała w tym czasie lekcje. Zajęcia zostały przerwane, a ja przed całą klasą stanąłem i nie wiedziałem o co chodzi. Jakie musiało to wywrzeć wrażenie na uczniach tej klasy i niesamowite zaskoczenie dla mnie, kiedy pani Matkowska w obecności pani Aptewicz poddała mnie egzaminowi z języka polskiego i z matematyki. Kazała mi wziąć kredę i pisać na tablicy różne teksty przez nią podyktowane. Pisałem koślawo ze zdenerwowania i ręką niewprawną w pisaniu, aż się kreda łamała. Kazano mi też przeczytać jakiś tekst z książki, co nie sprawiło mi trudności. Następnie poddano mnie sprawdzianowi ze znajomości tylko tabliczki mnożenia. Odpowiadałem trafnie bez najmniejszego zastanowienia. Żadna z nauczycielek nie ustosunkowała się do mojego egzaminu. Tylko pani Matkowska po tym egzaminie powiedziała, żebym przyniósł swoją torbę z drugiej klasy i przyszedł do klasy trzeciej, w której była lekcja języka polskiego. Tak więc w jednym roku ukończyłem dwie klasy. Klasę czwartą przerabiałem w ciągu jednego roku. Natomiast piątą i szóstą na wieczórówce w jednym roku. Klasę siódmą ukończyłem po całym roku nauki. Do gimnazjum dostałem się bez egzaminów z bardzo dobrą opinią, którą wystawił mi kierownik szkoły Wiktor Sadkowski, który uczył mnie historii Polski i starożytnej.

Nie pamiętam, jakie na świadectwie miałem wszystkie oceny końcowe z siódmej klasy. Wiem, że z historii z zagadnień współczesnych i z religii miałem oceny bardzo dobre, jak również z francuskiego, którego uczyła mnie począwszy od klasy piątej pani Sochacka, a także bardzo dobry miałem ze śpiewu. Miałem trudności z chodzeniem do szkoły i odrabianiem lekcji, ponieważ mieliśmy gospodarstwo ponad 8-hektarowe, 3 spore łąki, 2 krowy, konia i dużo innego inwentarza żywego. Nie było komu w tym gospodarstwie pracować, ponieważ z pięciorga nas dzieciaków w domu, byłem najstarszy – o cztery lata starszy od mojej najstarszej siostry Ireny. Musiałem więc pracować w polu, na łąkach przy sianie i przy robieniu torfu. Dlatego raz zdarzyło się w 7 klasie, że kierownik szkoły Wiktor Sadkowski, w czasie wizytacji lekcji z języka polskiego, przyłapał mnie na próbie kłamstwa. Kontrolował u każdego wypracowania domowe z "Pana Tadeusza". Doszedł do mnie i też chciał sprawdzić, jak tę pracę wykonałem. Nie miałem jej. Nieostrożnie powiedziałem, że chyba zeszyt z wypracowaniem pozostawiłem w domu, bo go nie mam. Na to odpowiedział:

“Marsz do domu. Czekam!”. Jeszcze nie opuściłem bufetu – lady sklepowej, chyba pożydowskiej, za którą nas kilku siedziało z powodu braku dla wszystkich ławek, a już przyznałem się do kłamstwa. Nic mi nie powiedział i kontrolował dalej. Myślałem, że zapadnę się pod ziemię ze wstydu, ponieważ kierownika szkoły bardzo lubiłem i wiele spraw szkolnych do załatwienia mi powierzał. Ponadto tę lekcję prowadziła pani Aptewicz, która po wyjściu za mąż nosiła już po mężu nazwisko Oleksiak, którego też bardzo lubiłem i szanowałem, bo uczył mnie geografii w 5 klasie i tak nauczył mnie wszystkich dopływów Wisły, że w 10 klasie liceum ogólnokształcącego, jak przyszło do wykładów lewych i prawych dopływów Wisły, to ja przed tym wykładem, odwrócony do mapy plecami, wymieniłem wszystkie z pamięci. Dostałem za to ocenę bardzo dobrą. Do tej pory je pamiętam dzięki geografowi Oleksiakowi, który do szkoły przybył w późniejszym okresie od Wiktora Sadkowskiego. Też przez jakiś czas chodził w mundurze porucznika Wojska Polskiego z armii generała Andersa. Jego mundur – według uczniów był dziwaczny. Składał się z bluzy, beretu, spodni długich zapiętych na dole spinaczami, które były połączone z kamaszami na grubych podeszwach. Jednak pomimo to był elegancki i przystojny.

Myślałem, że po tej mojej wpadce próby okłamania kierownika szkoły, wszyscy nauczyciele się o tym dowiedzą i ich stosunek do mnie się zmieni. Nic podobnego się nie stało. To byli bardzo dobrzy nauczyciele i psychologzy. Nikt nie dał mi odczuć zmiany swojego bardzo dobrego stosunku do mnie.

Szczególną życzliwością darzyła mnie nauczycielka Sochacka, u której w klasie 7. nie robiłem już błędów z pisania różnych dyktand z francuskiego. Czasami zapraszała mnie do domu w celu pomocy w uporządkowywaniu dokumentów szkolnych. W zamian za to udzielała mi dodatkowych lekcji z francuskiego, który pragnąłem opanować jak najlepiej. W gimnazjum też ten język był obowiązkowy i uczyła go pani Drobot. Doskonaliłem go na studiach w Wojskowej Akademii Politycznej chodząc z kolegami oficerami pochodzącymi z Francji na konwersacje. W czasie egzaminów do szkoły oficerskiej m.in. z dowolnie wybranego języka obcego, zwrócono mi uwagę, że mam zły akcent w posługiwaniu się tym językiem.

W czasie przebywania w domu u Sochackiej, poznałem jej matkę – Węglewską, która mieszkała obok swej córki. Była to przemiła, sympatyczna i kulturalna staruszka, która mnie bardzo polubiła i darzyła wielką

sympatią. Pewnego razu zrobiła mi radosną niespodziankę i wprawiła mnie, moją mamę i stryjka Juliana w nie lada zakłopotanie. Jak mieliśmy się zachować wobec tej szczodrej osoby, która sprawiła mi prezent bezinteresowny w postaci mundurka harcerskiego, a oprócz czapki i krzyża harcerskiego nic więcej nie miałem. To nas krępowało, a jednocześnie pragnąłem mieć taki mundur. Po naradzie w domu mundur ten przyjąłem z wielką wdzięcznością i podziękowaniem. Nie wiem w jaki sposób się odwdzięczyliśmy za ten wspaniały gest, który tej przedsiębiorczej staruszce musiał sprawić wiele kłopotu. Bo jak się okazało, musiała kupić najpierw od chłopki bardzo dobrze wykonane płótno domowym sposobem, potem je ufarbowała na kolor zielony tak trwale, że nie farbowało, a wreszcie bez pobrania ze mnie miary dała go uszyć krawcowi bieżuńskiemu.

Pomimo to mundur ten był bardzo dobrze uszyty, akurat na mnie. Doku-piłem czapkę nową aż w Sierpcu i miałem kompletny mundur harcerski, chyba wówczas jedyny w całym Bieżuniu. Przy tym przypomniała mi się pewna książka, którą w latach 70. czytałem w Bieżuniu u Adama Ratki w domu, obecnie mieszkającego w Żurominie mgr. historii. Opisano w niej w sposób barwny dawną przyrodę w okolicach Bieżunia, dziesiątkującą mieszkańców Bieżunia chorobę cholery i Ludwika Węglewskiego, którego inteligencja przed wojną nazywała bieżuńskim Wokulskim, a dzieciaki śpie-wały – jak pamiętam – m.in. tak: “A pan Węglewski ze swoją elektryką robił fiku, miku”. Czy Sochackiej matka, Węglewska, nie była kiedyś żoną Ludwika Węglewskiego, który też niekiedy był szczodry dla biedoty bieżuńskiej? Ludwika Węglewskiego poznałem przed wojną, a może na po-czątku okupacji w 1939 roku. Miał sklepik spożywczy przy ulicy Warszaw-skiej. Pomagały mu handlować dwie młode, bardzo ładne ekspedientki. Ku-powałem u niego różne artykuły spożywcze, a szczególnie bardzo smaczną marmoladę. Był już wtedy brzydkim staruszkciem z brodawkami na twarzy. Wtedy dowiedziałem się, że pobudował w Bieżuniu wiele obiektów uży-teczności publicznej i usługowej, dając przez to wielu ludziom pracę. Pobu-dował też kamienicę dwupiętrową i założył w Bieżuniu światło elektrycz-ne. W tej książce napisano, że kupił dużo ziemi, na której rosły różne polne kwiaty. Miał też wolant z woźnicą, cztery konie, którymi objeżdżał te swoje pola nieuprawione, a całe ukwiecone. Z tego powodu był bardzo dumny i doznawał wielkiej radości.

Pierwszy krzyż harcerski “młodzika” przypiął mi wraz z innymi nie-licznymi harcerzami, ustawionymi na rynku sierpeckim, starosta tego

powiatu. Z tej okazji odbyła się wielka uroczystość, na której było wiele osobistości i zgromadzonych wiele innych osób. Był też mój drużynowy, harcmistrz ZHP przedwojenny, chyba ponad 30-letni, który mieszkał w Bieżuniu przy ulicy Kościelnej. Uczył nas musztry i wymagał od nas znajomości historii harcerstwa, obowiązków i prawa harcerskiego, alfabetu Morse'a, znaków rozpoznawczych, rysowania szkiców terenowych, znajomości piosenek harcerskich i innych dziedzin dotyczących gier i zabaw w polu. Jedno z zajęć w terenie, zakończyło się, aż na "Wyspie Juranda", na której nocowaliśmy. Trzeba było zdać z tej wiedzy harcerskiej egzaminu, ażeby zasłużyć na przyznanie krzyża harcerskiego.

Do ZHP mogli należeć uczniowie, którzy mieli bardzo dobrą opinię w szkole i poza szkołą, a także dobre wyniki w nauce i przestrzegali obowiązków i przyrzeczenia harcerskiego. Najpierw byłem zastępowym u tego harcmistrza, a potem awansowałem na przybocznego drużyny.

W gimnazjum też było harcerstwo, które skupiało również dziewczęta najbardziej widoczne przy różnych pracach społecznych. Przyboczną tej drużyny gimnazjalnej była Lucyna Ratka.

Jako przyboczny drużyny wymagałem od moich harcerzy różnych umiejętności i posiadanie tej wiedzy, jaką zdobyłem na kursach w Sierpcu, organizowanych przez hufiec ZHP. Miałem też uprawnienia do przeprowadzania egzaminów z harcerzami, co też w swojej drużynie czyniłem.

Po jednym egzaminie w hufcu stałem się też tzw. przewodnikiem śpiewu marszowego. W związku z tym uczyłem harcerzy nowych piosenek harcerskich. Miałem w tym kierunku pewne kwalifikacje, ponieważ w domu miałem fortepian, na którym uczył mnie grać najstarszy syn organisty Skubiszewskiego. A w szkole, począwszy od piątej klasy, uczyłem się obowiązkowo nut i śpiewu. Z nakazu kierownika szkoły Wiktora Sadkowskiego musiałem śpiewać w chórze szkolnym, tańczyć i śpiewać w szkolnym zespole tanecznym. Często lekcje z muzyki prowadził W. Sadkowski i jego małżonka nauczycielka oraz pani Aptewicz z męża Oleksiak. Im zawdzięczałem umiejętność śpiewania i poznania nut w stopniu dostatecznym. Jako przyboczny drużyny brałem udział w wielu czynach społecznych z harcerzami. Włączaliśmy się w działalność szkolną PCK. Razem z członkiniami tej organizacji chodziliśmy po rynku i ulicach Bieżunia w czasie różnych świąt i przypinaliśmy mieszkańcom znaczki PCK. W zamian za to do naszych skarbonek wrzucano pieniądze w ilości – co łaska. Ja najczęściej chodziłem z Danutą Gadecką z niższej klasy i młodszą ode mnie.

Ze swoimi harcerzami naprawiałem przy młynie most, przez który trzeba było przechodzić chcąc się dostać do pałacu Jana Iłskiego, a mieszkańcom Bieżunia dostać się do pięknych alei spacerowych otaczających ten pałac. Przy tej pracy były robione nam zdjęcia przez Zygmunta Szymańskiego ("Rudego"), których nigdy nie oglądaliśmy.

Osobiście brałem udział w różnych przedstawieniach szkolnych z ważnych okazji np.: z okazji Bożego Narodzenia, otwarcia i zamknięcia roku szkolnego. Stałem też z harcerzami w kościele w Sierpcu na warcie nad Grobem Chrystusa, nawet w nocy na zmianę, co godzina. Było zimno, a my w mundurkach harcerskich staliśmy na baczność, z czapką na głowie i z paskiem zapiętym pod brodę. Z polecenia kierownika szkoły załatwiałem też różne sprawy związane ze szkołą w różnych instytucjach gminnych w zakresie zaopatrzenia szkoły w różne materiały, a przede wszystkim opał. W związku z tym byłem nawet zwalniany z lekcji.

Zaocznie wybrano mnie na zebraniu Związku Walki Młodych na przewodniczącego Zarządu gminnego tej organizacji, do której należała młodzież starsza, również pozaszkolna. Nie potrafiłem się uwolnić z tego obowiązku społecznego, który zabierał dużo czasu i wiązał się z częstymi wyjazdami do Sierpca na odprawy i w związku z rozliczeniem składek członkowskich, z którymi był największy kłopot. Sprawowałem tę funkcję do czasu zjednoczenia ruchu młodzieżowego, do lipca 1948 roku. Po zjednoczeniu, już w gimnazjum, należałem do ZMP.

W ZWM miałem sporo obowiązków. Musiałem organizować zebrania członków, różne spotkania z ciekawymi ludźmi, w tym również z oficerami Wojska Polskiego. Organizować różne imprezy kulturalno-rozrywkowe, jak np. wieczorki taneczne. Dbać o zbieranie składek i rozliczania się ze znaczków składkowych w Sierpcu, pomimo że był skarbnik.

Jednak najwięcej wysiłku poświęcałem harcerstwu szkolnemu. Pragnąłem, żeby moja drużyna była jak najlepsza w hufcu. Dlatego organizowałem w tej drużynie różne gry harcerskie w polu i zabawy. Na przestrzeni kilku kilometrów różne znaki, przyjęte w harcerstwie, po których harcerze musieli trafić do określonego punktu lub znaleźć jakąś korespondencję, wykonywać inne zadania, np. podchody w określonym lesie. Praktycznie musieli umieć posługiwać się alfabetem Morse'a, co wymagało ćwiczeń w terenie, i umieć narysować szkic sytuacyjny.

W bieżuńskim gimnazjum, na początku drugiej połowy lat 40., uczestnikami byli przeważnie uczniowie dorośli, którzy przed wojną nie zdąży-

li ukończyć dużej matury. Obowiązywała w tym gimnazjum mała matura po ukończeniu dwóch klas zakończonych egzaminami i duża matura po ukończeniu czterech klas gimnazjum, zakończonych egzaminami maturalnymi. Byli też tacy, którzy w okresie okupacji na tajnych kompletach nauczania nie zdążyli zrobić matury. Ci uczniowie byli tak dojrzały fizycznie i w tak zaawansowanym wieku, że żenili się między sobą. A pomimo to przestrzegali rygorów dyscyplinarnych, jakie ustanowił dyrektor tego gimnazjum, poeta Stefan Gołębiowski o pseudonimie literackim "Smutek". Przestrzegali też zasady niewałęsania się bez ważnej potrzeby po ulicach Bieżunia wieczorami po zakazanej przez gimnazjum godzinie. Wieczorami, po zakazanej godzinie, spacerowali po ulicach profesorowie w ramach pełnionych dyżurów, którzy kontrolowali przestrzeganie tego wymogu szkolnego, jak również uczniów na prywatnych stacjach, którzy byli z dalekich miejscowości, a w internacie szkolnym pomieścić się nie mogli.

Za nieprzestrzeganie dyscypliny kary były surowe, aż do wyrzucenia z gimnazjum, kary w postaci świadczeń materialnych na rzecz gimnazjum, np. w dostarczaniu odpowiedniej ilości opału w postaci torfu lub drzewa. Gimnazjum to było wtedy prywatne i rządziło się swoimi prawami. Wszyscy też musieli nosić jednakowe czapki szkolne, a chłopcy mieć krótkie włosy. Był zwyczaj, że uczniowie tego gimnazjum występowali na różnych uroczystościach w szyku zwartym czwórkowym i maszerowali po ulicach jak wojsko ze śpiewem. Pięknie to wyglądało. Mieszkańcy Bieżunia wychodzili ze swoich domów i podziwiali to swoje nietypowe wojsko. Podobnie jak gimnazjaliści, maszerowali ze śpiewem harcerze, idąc prężnym krokiem zastęp za zastępem do kościoła i na ćwiczenia w pole i do lasu. W miasteczku było biednie, ale wesoło dzięki licznej rozśpiewanej młodzieży, zebranej do szkół nie wiadomo skąd.

Kiedy szkoła powszechna już okrzepla i rozwinęło się w niej harcerstwo oraz życie kulturalno-rozrywkowe, to i my uczniowie tej szkoły występowaliśmy w czasie różnych uroczystości, także w szyku zwartym czwórkowym i często ze śpiewem. Blasku dodał nam sztandar szkolny, który w czasie okupacji trafił aż do Ostródy, wywieziony przez hitlerowców. A odzyskał go kierownik szkoły, Wiktor Sadkowski, który go przywiózł do Bieżunia w okresie wakacji. Towarzyszyli mu w tej podróży uczniowie szkoły: Lucyna Ratka i Zygmunt Rochowicz. Do komenderowania całą szkołą bez sztandaru, a później ze sztandarem Wiktor Sadkow-

ski – porucznik rezerwy – zobowiązał mnie. Być może dlatego, że jako przyboczny drużyny harcerskiej miałem donośny głos i umiałem podawać w różnych okolicznościach komendy wojskowe.

Pod koniec kończących się wakacji poważnie chorowałem. Ale nastąpił 1 września, w którym zbiegły się dwie uroczystości szkolne. Uważałem za swój obowiązek konieczny uczestniczyć w tych uroczystościach, chociaż byłem jeszcze mocno osłabiony. Był to dzień rozpoczęcia nowego roku szkolnego i przekazania w remizie strażackiej sztandaru szkolnego. Pogoda była piękna, słoneczna i gorąca, aż duszna. Udałem się więc do szkoły, gdzie był obowiązek zebrać się wszystkim uczniom i nauczycielom. Zrobiłem zbiórkę uczniów i w szyku zwartym na czele z nauczycielami, zaprowadziłem szkołę do kościoła. W kościele, razem ze wszystkimi nie mogłem długo stać, bo robiło mi się słabo i ciemno w oczach. Oparłem się więc o ławkę i na chwilę udało mi się w niej spocząć. Słabość mi minęła. Poczujęm się na tyle dobrze, że po skończonej ceremonii kościelnej, zarządziłem zbiórkę uczniów. Pomaszzerowaliśmy do remizy Ochotniczej Straży Pożarnej, gdzie znajdował się nasz sztandar. Na miejscu, przed remizą, kierownik szkoły wyznaczył mnie do pocztu sztandarrowego na tę uroczystość i jeszcze dwie uczennice. Jedną z nich była Danuta Gadecka, później z męża Kraśniewska. Ustawiono nas na scenie. W remizie było duszno przy przepelnionej sali przez uczniów, nauczycieli i zaproszonych gości. Staliśmy przy sztandarze na baczność. Ja trzymałem sztandar. Byłem w mundurku harcerskim z czapką na głowie, a pasek czapki miałem zapięty pod brodą. Pot zalewał mi twarz i oczy, ale poruszać się nie mogłem, bo stałem na baczność. Uroczystość się przeciągała, a ja poczułem się coraz słabszy. Lucyna Ratka recytowała piękny wiersz napisany na tę okoliczność przez Wiktora Sadkowskiego. Utwór ten był tak piękny i ujmujący oraz oddziałujący na najgłębsze uczucia, że wielu ze zgromadzonych aż płakało. Wtedy zrobiło mi się ciemno w oczach i poprzez moment pomyślałem, co by się stało, gdybym z tym sztandarem upadł. I już więcej nie wiem, co się ze mną działo. Straciłem, jak się okazało – przytomność, zemdlałem. Obudziłem się leżący na trawie za remizą i zlany wodą z wiadra, stojącego przy mnie. Koło mnie stali nauczyciele, a wśród nich Wiktor Sadkowski, którego darzyłem wielkim szacunkiem i był moim wzorcem w postępowaniu i zachowaniu się w różnych okolicznościach. Wstyd mi było, że zamiast przy sztandarze, leżę na ziemi zlany wodą. Na zadawane mi pytania, jak do tego mogło dojść, wyja-

śniłem powód mojej niedyspozycji. Kierownik szkoły zwymyślał mnie za to, że przyjąłem te obowiązki nie mówiąc nikomu o swojej chorobie. Ponadto zapytał czy jestem w stanie poprowadzić uczniów z nowym pocztem sztandarowym do szkoły. Odpowiedziałem twierdząco. Po tej uroczystości zarządziłem zbiórkę przed remizą i wszystkich w szyku zwartym zaprowadziłem przed szkołę. Po podaniu odpowiednich komend poczet sztandarowy odprowadził sztandar do szkoły na jego miejsce, a po jego powrocie do szeregu i przemówieniu kierownika szkoły, na moją komendę, została rozwiązana cała parada szkolna. Od tej pory prowadziłem szkołę ze sztandarem na różne uroczystości. Dowiedziałem się, że w czasie mojego zemdlenia, stojące obok mnie uczennice w poczcie sztandarowym, nie pozwoliły mi upaść, zdążyły podtrzymać mnie. Już w stanie nieprzytomności, z trudem odebrano mi sztandar z zaciśniętych mocno dłoni na jego drzewcu.

Było to już drugie zemdlenie w moim życiu. Pierwsze miało miejsce w dniu wyzwolenia Bieżunia, jak zostałem ranny w prawą rękę i w ucho odłamkami pocisku, które usunięto mi dopiero po 10 latach w szpitalu wojskowym, jak już ręka było mocno opuchnięta, a 5 odłamków wrosło w mięśnie dłoni, były czarne i kruszyły się w palcach. Doktor Wolski w Bieżuniu po obejrzeniu tej ręki, w niedługim czasie po jej zranieniu stwierdził, że nie widzi żadnych odłamków. I jak się ręka zagoi, to wszystko będzie w porządku. Wyczyścił ranę, posmarował jodyną i maścią oraz nałożył bandaż i na tym całe leczenie u doktora się skończyło. Ręka się zagoiła. Ale nawet przy lekkim uścisku tej dłoni przy witaniu się, ręka ta mnie bolała.

W gimnazjum najbardziej utrwaliły się w mojej pamięci takie postaci, jak: profesor Terlecki, który uczył w mojej klasie matematyki, fizyki i chyba chemii. Nauczycielka Golejewska, która uczyła nas rysunków. Profesor Cegielski, który uczył historii, geografii i prowadził WF. Był to człowiek bardzo energiczny i żartowniś, ale bardzo wymagający. Często chyba celowo zniekształcał nazwiska, przez co wywoływał śmiech. Najczęściej się mylił przy nazwisku uczennicy ładnej i sympatycznej, która nazywała się Kotas. Na gimnastyce dziewczęta wstydziły się przy nas chłopcach rozbierać do majteczek. Pokierował tymi zajęciami tak, że z pewnym oporem ściągały spódnice i ćwiczyły obok nas lub razem z nami. Uważał, że nadają się na oficera i w tym kierunku powinienem się uczyć. Podobnie myślał Wiktor Sadkowski, porucznik rezerwy, który su-

gerował mi uczenie się w szkole oficerskiej. Ja zaś myślałem o zdobyciu konkretnego zawodu cywilnego.

Zapamiętałem też doskonale profesora Redę od nauczania łaciny, który na egzaminie okresowym z języka polskiego wymagał ode mnie dokładnego omówienia przyrody opisanej w utworze "Pan Tadeusz", którego już po raz drugi przerabiałem w tym gimnazjum i znałem na pamięć pewne fragmenty tego utworu z okresu szkoły podstawowej. Jak pamiętam, jeden chyba brzmiał: "Litwo, ojczyzna moja, ty jesteś jak zdrowie. Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie kto cię stracił" itd. Profesora Redę spotkałem w latach 70. w Łodzi na wspólnym obiedzie. Był na emeryturze, mieszkał w Łodzi i pracował w Domu Nauczyciela.

Profesor Terlecki był bardzo wysokim i dobrze zbudowanym mężczyzną. Miał włosy mocno oszronione i wystrzyżone na jeża. Chodził zawsze wyprostowany, aż za bardzo. Był bardzo poważny i nikt nie widział, żeby się kiedyś uśmiechał lub się zdenerwował. Jak ktoś u niego otrzymał ocenę niedostateczną, to trudno ją było potem zlikwidować. Żeby ją poprawić, to przeważnie przepytywał z całego przerobionego materiału przed tablicą, co było u niego zasadą na wszystkich lekcjach. Stawiał oceny zaniżone. W pewien "tłusty czwartek" tuż przed jego lekcją, ktoś wysmarował tablicę smalcem. Nikt o tym chyba nie wiedział, za wyjątkiem sprawcy, który to zrobił. Profesor wszedł do klasy i usiadł za katedrą profesorską, sprawdził obecność i wezwał jednego z chłopców przed tablicę do odpowiedzi. Kazał mu m.in. rozwiązywać jakieś zadanie na tablicy, a ta nie przyjmowała kredy, bo się po niej ślizgała. Nic nie powiedział. Kazał uczniowi powrócić do ławki. Z tego powodu nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu. Kiedy wezwał już drugiego i trzeciego i kazał rozwiązywać zadania, a to się powtórzyło, to wtedy byliśmy przerażeni z powodu stawiania dwójek przez profesora. Zdążył wezwać do tablicy nas wszystkich chłopców i każdemu postawił ocenę niedostateczną, bo nikt nie potrafił rozwiązać zadania na tej tablicy posmarowanej tłuszczem.

W czasie tej lekcji zachowywał się tak, jak gdyby nic się nie stało. Nie ustalał też przyczyny, dlaczego tablica tak mocno błyszczy i dlaczego nie można na niej pisać. Wszedł z klasy z dziennikiem lekcyjnym bez pożegnania. Ustaliliśmy, że tym sprawcą był żartowniś z wioski, który również w bardzo śmieszny sposób witał nauczycielkę Golejewską, jak szła przez rynek ze szkoły powszechnej do nas na lekcję rysunku. Ze swoimi zwolennikami wybiegał aż na rynek po to tylko, aby każdy z osobna mógł

jej powiedzieć "Dzień dobry, pani Profesor", na co ona każdemu tym samym odpowiadała. Widać było, że z takiego powitania częstego była zadowolona. Otoczona tak licznymi uczniami doprowadzana była do gimnazjum. W klasie też ją tak witaliśmy ustawieni w rzędzie po obu stronach drzwi wejściowych. Była małego wzrostu i miała krzywe nogi. Tłumaczyła nam to tym, że jak była małą dziewczynką, to często jeździła na koniu kucyku i dlatego ma takie krzywe nogi. Zegarek miała duży kieszonkowy i był przywiązany do tasiemki, którą z zegarkiem nosiła na szyi. Był jednak ukryty pod bluzką na wysokości obfitego biustu. Dlatego ten kawalarz chłopski pytał ją często o godzinę nawet w czasie zajęć lekcyjnych. A ona wyjmowała ten zegarek i podawała nam czas ku dyskretnemu uśmiechowi całej klasy.

Każdy z nas musiał posiadać duży blok rysunkowy, w którym musieliśmy mieć wszystkie rysunki ułożone w kolejności wykonywanych prac w szkole i w domu. Niektóre z nich wymagały dużo pracy, bo były skomplikowane. Wszystkie były sprawdzane co pewien czas bez uprzedniej zapowiedzi. Niektórzy z chłopców pożyczali rysunki od swoich koleżanek w klasie, bo nie wszystkie mieli lub były wykonane niedbale. Pani Golejewska nie zauważała tego oszustwa i wszystkim wystawiała oceny pozytywne. Mnie też pewnego razu przytrafiło się, że nie miałem wszystkich rysunków, a byliśmy wzywani w tym dniu według dziennika alfabetycznie. Przed wezwaniem do katedry z blokiem rysunkowym przysłała mi z pomocą moja koleżanka Irena Osmańska, która wytarła swoje podpisy pod rysunkami, a ja naniósłem swoje. Nieoczekiwanie ja dostałem piątkę, a ona wezwana później ocenę dobrą. To było niesprawiedliwe i cała klasa się z tego powodu śmiała. Wstyd mi było i już więcej z niczyjej pomocy nie korzystałem.

W gimnazjum był bardzo wysoki poziom nauczania. Poza nauczycielką Golejewską, wszyscy pozostali nauczyciele byli spoza Bieżunia. Byli sprowadzeni przez dyrektora Stefana Gołębiowskiego z różnych zakątków przedwojennej Polski i pracowali prawdopodobnie na wyższych uczelniach. Pewnego dnia w godzinach lekcyjnych pojawiło się w gimnazjum dwóch przystojnych i elegancko ubranych w mundury podchorążych, którzy odwiedzili naszą klasę. Przeprowadzili z nami pogadankę na temat różnych szkół oficerskich i możliwości uczenia się w nich bez ponoszenia najmniejszych kosztów przez rodziców. Mówili ciekawie i zachęcająco. Ich mundury nam się bardzo podobały i chyba wszyscy po

raz pierwszy widzieliśmy wojskowych tak pięknie ubranych. Mieli na sobie kurtki zielone i spodnie z ciemnego granatu z szerokimi czerwonymi lam-pasami, których nogawki na samym dole były zakończone podwójnymi srebrzystymi sprzączkami. Obuci byli w kamasze lakierki. Na dole rękawów kurtek mieli naszyte po dwa paski w kolorze białym, co oznaczało że są na drugim roku szkoły oficerskiej. Kołnierze kurtek były zapięte na szyi, na których były srebrzyste patki z liśćmi dębowymi metalowymi zwieńczonymi mieczykami. Krawędzie pagonów też były obszyte taśmą białą, jak również stopnie wojskowe naszyte były w tym samym kolorze na pagonach, które były przykryte wianuszkami laurowymi srebrzystymi ze skrótem liter szkoły oficerskiej. Mnie odstraszała dyscyplina wojskowa, o której tak dużo się nasłuchałem od tych, co już byli w wojsku. Obserwowałem też stacjonujących okresowo w Bieżuniu żołnierzy. Za to, że jeden z żołnierzy maszerujący w kolumnie pomylił nogę, to oficer go kopnął, aż żołnierz się potknął.

Zamierzałem zdobyć dobry i atrakcyjny zawód cywilny, żeby później móc dobrze zarabiać i pomagać mojej rodzinie i moim czterem siostram, z których najstarsza miała prawie 14 lat. W związku z tym upatrzyłem sobie szkołę radiotechniczną w Dzierżoniowie na Śląsku. Złożyłem więc podania do dwóch szkół. Do szkoły radiotechnicznej i do szkoły oficerskiej w Zgierzu. Tak złożyło się, że w czasie wakacji miałem egzaminy w różnych terminach. Najpierw miałem egzaminy w Dzierżoniowie, które zdawałem z matematyki i z polskiego, pisemny i ustny, po których przyszło powiadomienie do domu, że zostałem przyjęty.

W międzyczasie zostałem wezwany przez WKR – Płońsk i skierowany do Warszawy na Wojskową Komisję Lekarską. Komisja ta wydała orzeczenie, że jestem zdolny do wojskowej służby zawodowej. Później wezwano mnie do Łodzi na egzaminy przed Komisją Wojskową, które zdałem i zostałem przyjęty do Oficerskiej Szkoły Politycznej w Zgierzu.

Egzaminy były tylko ustne z wykorzystaniem map fizycznych Polski i Europy oraz tablicy szkolnej i wzywani byliśmy pojedynczo do jakiejś sali wykładowej. Zdawałem je z historii Polski, z zagadnień aktualnych dotyczących Polski i wydarzeń na świecie, z geografii, z matematyki (algebra), ze znanej mi literatury polskiej i z dowolnie wybranego języka obcego, którym był dla mnie francuski. Zwrócono mi uwagę, że mam zły akcent w posługiwaniu się tym językiem. Zadawano mi dodatkowe pytania związane z moim życiorysem napisanym wcześniej, i inne. Ponieważ

napisałem, że należałem do ZHP, ZWM i ZMP, więc musiałem omówić historię harcerstwa polskiego z okresem jego działalności w czasie okupacji i ruch młodzieżowy w Polsce do czasu jego zjednoczenia. Zapytano też o godło nasze, np. co symbolizuje orzeł w koronie i bez korony. I inne pytania np. co robi żołnierz, kiedy wróbel usiądzie mu na karabinie? Po namyśle odpowiedziałem, że chyba śpi. Jedno z pytań z geografii polegało na tym, ażebym pokazał na mapie gdzie mieszkam. Wiedziałem, że osady Biezuń być nie może, ale pokazałem punkt nad rzeką Wkrą, gdzie Biezuń musiał leżeć.

Pozostał mi wybór szkoły. Po naradzie w domu, wybrałem szkołę wojskową, ponieważ dawała mi całkowite zaopatrzenie w odzież i wyżywienie bezpłatne, a także zaopatrzenie we wszystko, co było niezbędne do nauki. Ponadto był wypłacany w każdym miesiącu żołd podchorążego, który mógł zaspokoić moje niewielkie potrzeby oraz wydawano papierosy dla palących i niepalących. Ja wtedy nie paliłem.

Po zgłoszeniu się do szkoły wydano nam mundury polowe, które jakiś sierżant rzucał nam pod nogi według wymiaru „na oko”. Później okazało się, że jedni mieli mundury za duże a inni za małe. W miarę możliwości wymienialiśmy je między sobą. Buty z gwoździami do tych mundurów musieliśmy mieć dopasowane w trosce o to, żebyśmy przypadkiem nie doznali obtarcia stóp. Po wydaniu nam onuc odbyła się zaraz nauka jak mamy tymi onucami nogi prawidłowo owijać, żeby też nie doznać obtarcia z powodu złego owijania. Później każdy dla siebie musiał upchnąć siennik słomą też prawidłowo. W tym celu wykorzystywaliśmy kije i kawałki desek, bo siennik musiał być twardy jak blat stołu. Później znoszenie łóżek żelaznych do sal sypialnych. Tak zszedł nam pierwszy dzień tylko na pracach gospodarczych i ciągłych zbiórkach. W ogóle sale sypialne nie były przygotowane do przyjęcia nas w koszarach.

Przed przysięgą nazywaliśmy się elewami, a dopiero po trzech miesiącach składaliśmy przysięgę i przyjmowaliśmy tytuł podchorążego. Dopiero wtedy dostaliśmy mundury wyjściowe dopasowane, takie same, jakie widziałem u podchorążych w naszym gimnazjum.

Ze względu na stosowaną dyscyplinę wojskową według regulaminów przedwojennych i dowolną tzw. dyscypliną pruską przez podoficerów przedwojennych i frontowych, życie nasze było trudne i ciężkie nie tylko z tego powodu. Nieraz żałowałem, że poszedłem do tej szkoły, bo środowisko w jakim się znalazłem to przede wszystkim tacy kandydaci na ofi-

cerów, którzy jako podoficerowie przybyli z jednostek wojskowych i wielu z nich było w stopniach sierżantów i starszych sierżantów. Takich jak ja w tym młodym wieku, przybyłych z cywila było niewiele.

Przybyli też do tej szkoły byli młodzi partyzanci z różnych ugrupowań i Polacy z Jugosławii, Francji i innych krajów, którzy powrócili do Polski. Wielu z nich miało blizny po ranach odniesionych na froncie lub w bitwach partyzanckich stoczonych z Niemcami, albo z bandami Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA). Ci zasłużeni w bojach frontowych i bitwach partyzanckich mieli już krzyże walecznych i wiele innych medali. W mojej kompanii był jeden starszy sierżant podchorąży, który nosił wciąż na piersiach krzyż Virtuti Militari.

Ci podoficerowie z jednostek wojskowych – później podchorążowie w stopniach kaprali, plutonowych, sierżantów i starszych sierżantów, mieli przydzielone różne funkcje służbowe. Byli magazynierami, dowódcami drużyn i szefami kompanii. Było to środowisko ludzi bardzo mi obcych i o wiele starszych ode mnie nawet przybyłych z cywila. W przeważającej części byli wdrożeni do służby wojskowej i do tej dyscypliny, jaka wówczas panowała w wojsku.

Miałem szczęście spotkać na początku w tej szkole bliskiego mi bieżuniaka Romana Bartnikowskiego. Zrobiliśmy sobie zdjęcie z tego radosnego spotkania. Jednak moje radosne dni nie trwały długo. Został przeniesiony ze Zgierza, z mojego batalionu, do Łodzi na dalszy rok nauki. Po ukończeniu tej szkoły był promowany na podporucznika w mundurze lotniczym i przydzielony do tego rodzaju broni. Z tej okazji była wielka uroczystość w całej szkole, w czym i ja brałem udział za swoją kompanią. W każdym batalionie były cztery kompanie liczące około 130 podchorążych. W takich defiladach z bronią braliśmy udział tylko z okazji świąt państwowych. Z tych okazji defilady odbywały się m.in. w Łodzi, na głównej ulicy Piotrkowskiej. Były one niebezpieczne, ponieważ pod nasz krok defiladowy sypały się kwiaty, które rzucane były przez ludzi z balkonów i z chodników na maszerujących z karabinami w rękę, na których zatknięte były bagnety, ustawione tak jak do walki na bagnety. Ślizgaliśmy się po tych kwiatkach i groziło to niebezpieczeństwem zranienia kolegi w szyję lub w plecy. Mnie to nie groziło, ponieważ moja kompania występowała z ręcznymi karabinami maszynowymi (RKM-y), które nosiliśmy w czasie defilad na piersiach przymocowanych do pleców pasami.

Wszystkie promocje na oficerów w tej szkole miały bardzo uroczysty charakter. Brały w nich udział rodziny promowanych, koledzy z cywila, koleżanki i narzeczone. Romana Bartnikowskiego po tej jego promocji spotkałem dopiero po wielu latach na uroczystym przyjęciu i obiedzie u wojewody łódzkiego. Był w stopniu majora i po ukończeniu Wojskowej Akademii Sztabu Generalnego. Był na stanowisku szefa sztabu Pułku Lotniczego w Łasku koło Łodzi. Ja byłem w stopniu kapitana na stanowisku Zastępcy Dowódcy Jednostki Wojskowej ds. Politycznych w Łowiczu. Z okresu naszego spotkania w Zgierzu, z jego promocji i z mojej defilady pozostały mi do dziś tylko zdjęcia i miłe wspomnienia.

W czasie przebywania w szkole oficerskiej szczególnie na początku, odczuwałem silną tęsknotę za domem i za Bieżuniem, który musiałem opuścić na początku sierpnia 1949 roku.

Do dziś mam w pamięci tamten Biezuń i tętniące w nim życie kulturalno-oświatowe i rozrywkowe młodzieży szkolnej miejscowej i napływowej. Były organizowane wtedy często dla młodzieży i przez młodzież różne imprezy, potańcówki, wycieczki, obozy harcerskie i inne pożyteczne i wesołe rozrywki. Również dla dorosłych mieszkańców Bieżunia organizowano zabawy w okresie zimy w remizie strażackiej i w szkole powszechnej. A w porze późnej wiosny, lata i wczesnej jesieni, były organizowane majówki na dziedzińcu pałacowym, otoczonym piękną przyrodą, jak również na łące porośniętej małą trawą zwaną też borkiem, przy którym płynęła piękna rzeka Wkra. Zarówno na dziedzińcu pałacowym, jak i na łące tańczono bezpośrednio na trawie. Po pewnym czasie ta trawa została zdarta przez tańczące pary, że w wyniku tego tańczono w niesamowitym kurzu.

Na wszystkich zabawach i majówkach grała pięknie orkiestra kapelmistrza miejscowego Chorzewskiego, który zajmował się też orkiestrą dętą Ochotniczej Straży Pożarnej w Bieżuniu. Ta orkiestra dęta w niedzielę i święta maszerowała po ulicach Bieżunia i pięknie grała na różnych instrumentach. Przedtem, o którejś godzinie rano, trębacz tej orkiestry ze wszystkich czterech stron rynku, trąbił odpowiedni sygnał – chyba bieżuński. Orkiestra ta w każdą niedzielę i święta również prowadziła w szyku zwartym umundurowanych strażaków do kościoła i z kościoła, gdzie zawsze miała zbiórkę przed swoją remizą. To była piękna tradycja.

Przyroda Bieżunia i jego okolic, jaką zapamiętałem w tym czasie, kiedy żyłem w Bieżuniu

Urok Bieżuniowi i Jego okolicom nadawała przede wszystkim rzeka Wkra z otaczającymi ją łąkami i z pobliskim borkiem bieżuńskim. A także pałac Jana Ilskiego z przyległym do niego parkiem i otaczającymi go stawami.

W pobliżu Bieżunia leżały dwie góry: Biała Góra, usytuowana na trasie od Bieżunia przez Zawidz do Warszawy i Tatarska Góra, która znajdowała się przy drodze od Bieżunia w kierunku wsi Mak. Obie były duże, niezbyt wysokie i pokryte białym lotnym piaskiem. Wyższa i dłuższa była Biała Góra, przez którą z trudem przejeżdżały wozy, chociaż w miejscu przejazdu była przekopana. Z tej góry "skulgiwały" się starsze dzieci z rodzicami i młodzież w łąki wioski Dąbrówki. Ja również ze swoją babcią Filarską. Na Górze Tatarskiej znajdowały się w niektórych miejscach krzewy przeważnie jałowca i wikliny. Spotykało się też liczne kości leżące na wierzchu lub pod powierzchnią piasku. Obok tej góry za leśną drogą było dużej wielkości jezioro, nad którym żyły czaple. W sąsiedztwie tej góry rozciągały się z jednej strony lasy, laski małe i zagajniki, a z drugiej strony w kierunku góry Białej ciągnęła się olszyna, która miejscami była podmokła i bagnista. Poszycie jej było pokryte soczystą trawą. Bieżuniacy wypasali w niej krowy i w niedziele konie. Na drzewach olch w tym lesie olszynowym wisiały w sezonie zbiorów, dorodne, bardzo słodkie jeżyny i maliny. Kto miał pragnienie i czas, to zbierał je i przynosił do domu pełne wiadra tych wielkich i smakowitych owoców. W lasach było bardzo dużo różnych grzybów jadalnych, przeważnie prawdziwków i maślaków.

Na skraju drugiej wioski Władysławowo, leżącej przy pastwisku i torfowiskach zwanych Bąkami, w kierunku wioski Mak, była dziko wyrosnięta różnym drzewostanem i niskimi krzewami tzw. Cerkwina o dużej powierzchni. Rosło w niej dużo różnorodnych grzybów i krzewów włośnic, które rodziły jadalne jagody rzadko występujące w innych regionach Polski. Te owoce też bieżuniacy zbierali do pełnych wiader. Po tym terenie była konieczność chodzenia tylko w obuwiu, bo groziło niebezpieczeństwo ukąszenia przez żmije, których było bardzo dużo. Od strony dużego mostu w Bieżuniu w kierunku Kocewa i aż do rzeki pod Karniszynem, znajdowało się pastwisko o nazwie "Jeziurko", przyległe do rzeki Wkry. Na tym pastwisku było sporych rozmiarów jezioro bagniste z rzeką rozlewającą się aż pod Kocewo i do drogi prowadzącej od Karni-

szyna do Kocewa. Krowy i konie bieżuńskie pasące się na tym "Jeziurku" często topiły się w tym jeziorze. Trzeba je było wyciągać z tych topieli i grzęzawisk. Z drugiej strony rzeki Wkry rozciągało się drugie pastwisko o nazwie Zębówki. Ciągnęło się ono od ogrodów Poświętnego Bieżunia aż pod Borek bieżuński. Otoczone było ze wszystkich stron rzeką Wkrą i jej rozgałęzieniami. Aby dostać się na to pastwisko od strony Poświętnego, była konieczność przejścia przez mostek rodziny rybackiej Władysława Grzeška lub przez niezbyt głębokie rozlewisko tej rzeki, które płynęło przy samych ogrodach, przy łące księdza proboszcza Pszczółkowskiego, obwałowanej z tej strony i przy chatce gajowego pilnującego Borku bieżuńskiego oraz dalej przy byłym kirkucie żydowskim. Następnie wpadała ta odnoga rzeczna do swej macierzystej rzeki, w pobliżu plaży na borku. W pobliżu plaży, kirkutu i chatki, pasące się krowy też wymagały pomocy ludzkiej, ażeby wydostać się z tego rozlewiska bagiennego. W niewielkiej odległości od mostu dużego po drugiej jego stronie, rzeka Wkra łączyła się na dużym i głębokim zakręcie w prawo z inną rzeką tzw. Starą. Była ona dosyć głęboka i miejscami szeroka na zakrętach. Brzegi miała zarośnięte sitowiem, szuwarami, gałkami i innymi dużymi roślinami. Lustro wody też w przytłaczającej większości porośnięte było gęstymi wodorostami. Przepływała przez łąki, które miejscami były przez nią zalewane i mocno podmywane. W związku z tym powstały w niektórych porach roku na tych łąkach liczne zbiorniki wodne i trzęsawiska, na których trudno było kosić trawę i zebrać na skoszonych łąkach siano. Połączona była przez regulujące stawidła z mostkiem, z największym stawem okalającym pałac od strony tych mocno podmokłych łąk, które zajmowały duży obszar od Bieżunia i pałacu aż do wsi Karniszyn, przy którym płynęła następna rzeka, łącząca się na tych łąkach z rzeką Wkrą i za pałacem od strony wsi Strzeszewo. Nad tą rzeką pośród łąk występowało spore, dosyć wysokie wzgórze nazywane Dębowcem. Było ono porośnięte dębiną i krzewami kolczastymi, jak np.: dzika róża, głóg, krzewy jeżyn i inne. Rosły na nim również w dużej ilości piękne i duże konwalie. Bieżuńska młodzież i ja wśród niej, chodziliśmy po nie po uginających się pod naszymi bosymi stopami łąkach. Nie wiedzieli o tym nasi rodzice, bo zabroniliby nam chodzić po tych niebezpiecznych trzęsawiskach. Były przypadki, że z tego Dębowca zbliżyły się w dzień latem do dużego mostu wilki, które płoszyliśmy krzykami w kilkunastu chłopców. Uciekały powoli przez łąki w kierunku Dębowca.

Z drugiej strony parku pałacowego za rzeką Wkrą i obszerną drogą o nazwie Grobla, znajdowały się łąki wzdłuż tej drogi po obu jej stronach, aż od wioski Strzeszewo do Bieżunia. Łąki te od parku pałacowego pod Strzeszewo, poprzecinane były starymi i nowymi torfniakami, z bogatą po brzegach roślinnością, w której gnieździły się piżmowce. Od pastwiska bieżuńskiego nazywanego Grundami, które brały swój początek od ogrodu owocowo-warzywnego ogrodnika Perzyńskiego, a kończyły się na granicy podmokłej olszyny z poprzeczną rzeczką płynącą przez łąki do Strzeszewa, odgradzała te łąki od Grundów inna rzeka. Podmywała ona łąki, które trudno było kosić i zbierać z nich siano przy granicy z tą rzeką. Rzeka ta łączyła się z wodami rzeki Wkry przy ogrodach w pobliżu młyna. Odgradzała zabudowania bieżuńskie od grobli i od młyna. W związku z tym położony był na tej rzece drewniany most, przez który piesi i pojazdy ze zbożem mogły dotrzeć do młyna i do grobli. Aby dostać się do pałacu i do parku pałacowego, trzeba było przejść lub przejechać wozem przez jeszcze jeden drewniany most, który był zbudowany na głównym nurcie rzeki Wkry. Pod tym mostem była śluza z zaporami, przy pomocy której regulowano wielkość wody zawartej w zbiorniku usytuowanym przy młynie, do którego wpływała woda z Wkry. W razie braku prądu spuszczano tę wodę na turbiny – koła młyńskie i uruchamiano młyn do pracy tylko w oparciu o zasilanie wodą. Jeżeli młyn nie pracował na wodzie, to co jakiś czas spuszczano wodę ze zbiornika do rzeki z dużej wysokości. W wyniku tego tworzył się duży wodospad z pieniącą się w dole wodą i z bardzo szybkim nurtem, który koło młyna wyłobił głęboki dół o dużych i szerokich rozmiarach. Wodospad ten był wielką atrakcją dla chłopców umiających doskonale pływać i nurkować. Skakano w nurty kłębiącej się i pieniącej się w dole wody, której nurt był tak silny i szybki, że znosił on kąpiących się aż na przeciwległy brzeg rzeki.

Woda we wszystkich rzekach była czysta i niczym nie skażona, jak również w stawach, jeziorach, rozlewiskach rzecznych i torfniakach. Pobierano z rzeki przy młynie i naprzeciwko młyna przy mostku wodę do potrzeb domowych o każdej porze roku. Podobnie pobierano wodę z rzeki Wkry na odcinku od mostu dużego do Poświętnego. W okresie mrozów i skutych lodem rzek, pobierano ją z przerębli wyrąbanych w lodzie. Na tym odcinku rzeki Wkry były pobudowane liczne pomosty z bali i desek, które były wysunięte możliwie jak najdalej w poprzek rzeki. Na tych pomostach prano bieliznę różną, a jeśli zabrakło na nich miejsca to kobiety stojące w wodzie prały ją bezpośrednio w rzece.

W rzekach, stawach, jeziorach i innych zbiornikach wodnych była obfitość różnych ryb, a w rzece Wkrze płynącej koło pałacu, występowały też w dużej ilości raki, które były łowione przez niektórych amatorów. Było powiedzenie, że “gdyby nie ryby i raki, to by wyzdychali bieżuniaki”. Do najczęściej spotykanych ryb w rzece Wkrze należały: szczupaki, jazie, okonie, leszcze, miętusy, węgorze, liny, płocie i im podobne. Natomiast w rzece starej, której brzegi były trudnodostępne, bagniste i porośnięte szuwarami i innymi dużymi roślinami, było najwięcej szczupaków, okoni i linów tak dużych, że jak przepływały, to widać było ich grzbiety nad wodą i poruszały rośliny wystające nad lustro wody. Miało się wrażenie obserwując te liny z oddali, że to płyną małe kaczki cyraneczki. W stawach pałacowych oprócz takich ryb, były też karpie w dużej ilości i karasie.

W rzece odgradzającej młyn od zabudowań bieżuńskich spotykało się m.in.: piskorze, liny, karasie, węgorze, szczupaki i jazie wielkie na tarle. Za wyjątkiem jazi, pozostałe ryby łowiło się w wielu miejscach tej rzeki, nawet wielkimi plecionymi koszykami lub na kiju osadzonymi siatkami z pałąkiem, tzw. szuwadłami. W czasie tarła jazie przepływały pod mostem z grzbietami wystającymi nad wodą. Woda tu była bardzo czysta i rzeka płytka, o dnie wyłożonym gęsto kamieniami i żwirem. Każdy mógł je w tym czasie złapać rękoma. Były jednak pilnowane przez rybaków, którzy dzierżawili tę rzekę i nie pozwalali nikomu łapać tych jazi.

W Bieżuniu było kilku rybaków, którzy zawodowo trudnili się łowieniem i sprzedażą ryb o każdej porze roku. W związku z tym dzierżawili poszczególne rzeki i dbali o to, ażeby nie łowić ryb w czasie tarła.

Bardzo dużo było wędkarzy w podeszłym wieku i młodych, którym nikt nie zabraniał łapać ryb na wędkę o każdej porze roku. W czasie zimy łowili wędkarze w przeręblach wykutych w lodzie. Nikt też wędkarzy nie pytał o kartę wędkarską. W dni świąteczne wczesnym rankiem i pod wieczór, a w dni powszednie – przed zachodem słońca, spotykało się wędkarzy nad rzekami, nad którymi spędzali wolny czas przez wiele godzin, bo i w nocy niektórzy. W torfowiskach też łapano ryby w różny sposób i w rowach wypełnionych wodą. Były w nich przede wszystkim szczupaki, karasie i liny. Na płycznach rzeki Wkry z podłożem białego piasku i białego drobnego żwiru, woda była najczystsza i przezroczysta. Nikt i nic nie było w stanie jej zmącić. Kapały się na nich dzieci pod opieką rodziców i kobiety w podeszłym wieku, niezbyt dobrze pływające. Pływały też w takich miejscach duże ławice uklei i kielbi, które przebywających w wodzie trącały po-

gach. W tych miejscach rzeka była najszersza i nieporośnięta żadną roślinnością. Brzegi miała łagodne, łączące się z plażami usypanymi z białego piasku lub z darniny pokrytej niską trawą. Największa plaża znajdowała się przy lasku biezuńskim nad rzeką i była tylko z białego piasku. Inne były położone w pobliżu Poświętnego na Zębówkach przy rzece i nad Wkrą przy parku pałacowym.

Myśliwi też mieli raj na tej ziemi. Bo na łąkach i pastwiskach gromadziło się mnóstwo różnorodnego ptactwa, które było osiadłe lub przelotowe. Były to przede wszystkim dzikie kaczki, kuropatwy, dzikie gęsi, żurawie, czaple, czajki, bociany, bekasy, dziobaki, kuliki i inne unoszące się nad łąkami i pastwiskami ptaki śpiewające.

Trawa na wiosnę i latem pokryta była dywanem różnokolorowych kwiatów pachnących.

Przebywały na łąkach również zające, sarny i lisy na wysoczyznach łąk zakrzewionych.

Rzeka Wkra była bardzo szeroka i miejscami bardzo głęboka. Płynęła pomiędzy łąkami, pastwiskami i obrzeżem Bieżunia. Miała liczne zakręty pod kątem prostym i ostrym. Na tych szerokich zakrętach była najgłębsza i najbardziej niebezpieczna, bo występowały wiry, przez które trudno było przepłynąć kąpiącym się, płynącym na łodziach i kajakach, które były mniej popularne od łodzi. Wiła się zygzakiem niby pelzający wąż. W niektórych miejscach miała szybki prąd, a w niektórych powolny i ledwie widoczny. Już w pobliżu borku tworzyła swoimi wodami bagniste odnogi, których najwięcej było w pobliżu wiosek Kocewa i Myślina.

Latem w dni gorące i słoneczne odpoczywały nad tą rzeką dzieci, młodzież i dorośli. Najwięcej ich gromadziło się w dni świąteczne na plażach, szczególnie przy borkach i przy parku. Opalano się, kąpano lub wypoczywano w cieniu drzew.

Borek-lasek zajmował sporych rozmiarów powierzchnię, położoną na wysoczyźnie. Był otoczony łąkami, zarastającymi kanałami, a od strony Bieżunia polami uprawnymi. Rosły w nim różne drzewa. Najwięcej było wysokich sosen i niskich karłowatych z rozłożystymi gałęziami, opuszczającymi się do ziemi.

Występowały też gęste zagajniki sosnowe, duże brzozy, krzewy jałowca i krzew młodej topoli. Duże połacie tego borku miały poszycie składające się ze ściółki drzew iglastych i liściastych. Miejscami zajmowały dużą powierzchnię wrzosi i mchy.

Pod wielkimi starymi sosnami na skraju lasu od strony rzeki występował tylko biały piasek. Lasek ten był bardzo urodzajny w różne grzyby. Wielu bieguniaków w okresie sezonu już o świcie zbierało je. Najwięcej rosło w nim prawdziwków i maślaków, gąsek zielonych, kozaków z czerwonymi czapami.

Park przy pałacu był już atrakcyjny wiosną. Otaczał on pałac różnym drzewostanem ze wszystkich stron. Rosły w nim m.in. takie drzewa, jak: stare kasztany, dęby, buki, klony, wiązy leszczyna, bzy, olchy i nieco rzadziej brzoza. Poszycie parku też było urozmaicone i miejscami żyzne. Oprócz trawy rosły konwalie, kaczęce i wiele innych gatunków kwiatów polnych. A w wysychających stawach rosły lilie i inne rośliny kwitnące. Jak przyszła wiosna i lato, to cały park był w pachnących kwiatkach i rozbrzmiewał śpiewem wielu różnych ptaków. A jak nadeszła jesień, to w leszczynie zbierano prawdziwki i inne grzyby. W tym okresie, jak były jeszcze czynne szkoły – powszechna i gimnazjum, gromadziło się w tym parku najwięcej młodzieży szkolnej. Jedni się uczyli, a inni przychodzili tylko wypocząć. Spacerowano także na grobli, która też była atrakcyjna, ponieważ miała po obu bokach dwie rzeki i potem przez rzekę Wkrę, miała tylko park z jednej strony, a z drugiej tylko łąki ciągnące się do Strzeszewa. Nad samą rzeką Wkrą przy grobli rosły bardzo duże stare olchy i topole, które dawały schronienie przed piekącym słońcem i deszczem w czasie gorących dni letnich.

W okresie jesiennych szarug wody rzek występowały ze swoich koryt i zalewały pobliskie, niżej położone łąki, pastwiska i ogrody. W okresie zimy zamarzały, a wiosną lody topniały i woda wciąż duża, utrzymywała się na powierzchni tych lodów przez pewien czas dopóki nie wyschła. W czasie kończącej się zimy i roztopów lody były giętkie, a miejscami woda pod nimi wysychała i powstawała skorupa lodowa.

W okresie pewnej zimy, w czasie okupacji, kiedy jeszcze nikt z mojego domu nie był represjonowany, miałem dwie przykre przygody na lodzie, którym były przykryte wszystkie rzeki, łąki i pastwiska na “Jeziurku” i Zębówkach. Pierwszy wypadek miałem na rzece Wkrze koło Poświętnego. W tym miejscu rzeka była o tej porze najszersza i w nocy została cała skuta lodem, nie wiadomo jak grubym. Po drugiej stronie na “Jeziurku” błyszczał w słońcu i przy mroźnej pogodzie gładki lód, na który w kilku chłopców pragnęliśmy się przedostać. Nikt jako pierwszy nie chciał sprawdzić wytrzymałości lodu na środku rzeki. Ja z łyżwami na

nogach zaryzykowałem. Z lodowiska na Zębówkach nabrałem rozpędu i nie poruszając nogami pragnąłem przejechać na drugą stronę. Łód się na środku załamała, a ja znalazłem się pod lodem. Nie wiem jakim cudem udało mi się wydostać o własnych siłach z tego lodu łamiącego się przy mnie. Umiałem dobrze pływać i ze strachem chwyciłem się tego lodu, płynąc z powrotem w kierunku brzegu. Przekonałem się, iż tonący chwytają się nawet brzytwy. Zgubiłem jedną łyżwę pod lodem, a znalazłem ją dopiero latem. Następnym wypadkiem miałem w Święta Wielkanocne tej samej zimy. Była ładna słoneczna pogoda. Ze starszymi przyjaciółmi znalazłem się na pokrytych lodem Zębówkach. Korzystając z tej pogody, zapragnęliśmy urozmaicić sobie czas i udać się do borku przez łąkę księdza proboszcza, w sąsiedztwie której mieszkałem. Na przeszkodzie było wąskie rozgałęzienie rzeki zamrożonej ze stojącą na lodzie modą i wysoki wał ziemny, odgradzający łąkę od Zębówek. Rosły na nim bardzo wysokie stare wierzby z dużymi konarami zwisających gałęzi. Byliśmy ubrani odświętnie nikt nie chciał się zamoczyć. Jedyнным sposobem dostania się na łąkę, była konieczność przeskoczenia przez odnogę rzeczną na wał. Byłem wtedy bardzo sprawny fizycznie i dobrze skakałem na odległość i wzwyż. Więc podjąłem się wykonać pierwszy ten skok mówiąc – ja lekki, to przeskoczę! Udało mi się skoczyć na ten wał, ale się zachwiałem do tyłu i chwyciłem się gałęzi wierzby, która oderwała się od drzewa i razem z nią upadłem na kręgosłup do wody z lodem, który się pode mną załamał. Wydostałem się z tej odnogi rzecznej znowu o własnych siłach, cały przemoczony i ubrudzony w błocie. Stojący w pobliżu mieli z tego powodu wielki ubaw. Przez jakiś czas, przy spotkaniu ze mną śmiali się i mówili – “ja lekki, to przejdę”. Najbardziej dokuczał mi grubasek z Poświętnego, który był w tym czasie ze mną. Po wojnie ja poszedłem do drugiej klasy szkoły powszechnej, a on przejął stanowisko sekretarza w tej szkole.

W czasie rozpuszczania się lodów, ryzykowne zabawy odbywały się na Jeziurku, gdzie pod lodem woda była płytka. Kilkanaście osób brało się za ręce i przytupując biegło przed siebie. Łód uginał się pod nogami i zapadał w dół, a przed biegnącymi powstawała góra lodowa. Kto nie zdążył wbiec na tę górę i pozostał w tyle, ten wpadał do wody z łamiącym się lodem.

Jak już na wodach rzek i innych był bardzo gruby lód, to wtedy wielu mieszkańców Bieżunia w ładne dni i wolne od pracy, przebywało na lodowiskach w różnych miejscach. Starsi spacerowali, małe dzieci z rodzicami jeździły na sankach, a młodzież jeździła na łyżwach aż po Borek



**Elew Zenon Filarski przed przysięgą i pchor. Roman Bartnikowski
w mundurach polowych w szkole oficerskiej w Zgierzu, wrzesień 1949 r.**

*Kpt. rez. Zenon Filarski.
Por. z zakresu lat 80.*



**Por. Zenon Filarski z okresu pracy w Dowództwie
Okręgu w Bydgoszczy i w Samodzielnej
Podoficerskiej Szkole Artylerii
Rakietowej w Malborku.**



**Kpt. Zenon Filarski z okresu przed
odejściem z wojska. Fot. ok. 1973 r.**



**Kpt. rez. Zenon Filarski.
Fot. z okresu lat 80.**

i pod Myślin. A z drugiej strony Bieżunia po lodzie na łąkach jeżdżono, aż do olszyny na Grundach.

W czasie okupacji chłopcy, którzy nie mieli firmowych łyżew i sanek, sami je robili. Saneczki wykonywano jednoosobowe z desek i drutu grubego półokrągłego, w który zaopatrywano się z odjętych pałaków wiader blaszanych, dziurawych i porzuconych. Jeżdżono na nich na stojąco i w pozycji klęczącej. W czasie jazdy w pozycji stojącej, posługiwano się jedną tyczką zakończoną grubym gwoździem zaostrzonym, a w pozycji klęczącej dwoma kijami zakończonymi tak samo. Podpierano się nimi w czasie jazdy tak szybkiej, jak na łyżwach. Natomiast do jeżdżenia po ubitych śniegiem ulicach, wykorzystywano drewniane łyżwy tzw. kopyciary (kopyta). Wystrugiwano je z grubego drewna i podkuwano takim samym drutem, jak przy sankach. Wiercono w nich otwory, przez które przeciągano sznurki, którymi przywiązywano łyżwy do obuwia. Tak radziło sobie wielu chłopców bieżuniaków, kiedy nie byli w stanie odkupić od kogoś ten sprzęt sportowy, a pragnęli na czymś jeździć. Małe dziewczynki zabierały miotły z domów, zrobione z gałęzi brzoźowych i w czasie okupacji zjeżdżały na nich z oblodzonych gór.

Z takim życiem Bieżunia i jego przyrodą i okolic się rozstałem. Stykałem się z tym na co dzień. Będąc wychowanym od dzieciństwa w naturalnym środowisku przyrody niczym nie skażonej, tęsknię za nią coraz bardziej. Może dlatego, że jestem od wielu lat poważnie schorowany i nie mogę nigdzie sam wyjechać w takie środowisko. Mam namiastkę tej przyrody przy domu położonym na obrzeżu Łodzi. W pobliżu jest też jezioro naturalne i łąki, na których pokazuje się dzikie ptactwo. Po jeziorze pływają dzikie kaczki: stare i młode, a także łodzie i kajaki. Są też w nim różne ryby, których łowić na wędkę nie jestem w stanie ze względu na mój stan zdrowia.

(...)